miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych cena 0,0 PLN ISSN 1732-8225

in gremio

nr 7/8 (27/28)
lipiec/sierpień 2006

A może na ryby...

www.ingremio.org

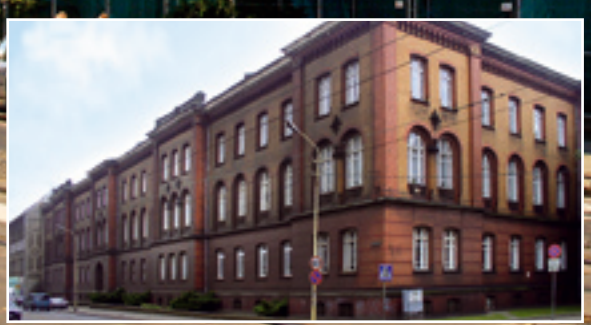

chapeau bas!

04 • A może... Monarchia?
Mirosław Kido, prokurator Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku, do 10 lutego 2006 r. Prokurator Okręgowy w Słupsku

06 • Osiemdziesiąt sześć lat temu
Marian Szabo, Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie w stanie spoczynku

10 • Gdzie ci mężczyźni?
dr n. med. Ewa Kramarz, specjalista psychiatra, biegła sądowa

12 • Szczecińska psychiatria sądowa – Wykonywanie środków zabezpieczających
Jerzy Pobocha, Maciej Strączyński

14 • Asesorem być...
Dorota Korecka, Asesor Prokuratury Rejonowej Szczecin-Śródmieście

15 • Doroczne Zgromadzenie Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie
Hanna Sokulska

16 • Budynki sądowe w Szczecinie 2006 roku
Beata Beim

20 • Zejść ze szlaku i pójść pod ścianę...
Jarosław Kryński, adwokat

24 • Szkoła Prawnicza Ministerstwa Sprawiedliwości w Szczecinie
Ryszard Różycki, Wiceprezes Zarządu Oddziału Zrzeszenia Prawników Polskich w Szczecinie

26 • Inter arma silent leges?
Marcin Przybysz - prawnik, członek Komisji Upowszechniania Międzynarodowego prawa Humanitarnego przy Zarządzie Okręgowym PCK w Szczecinie, członek Zarządu Stowarzyszenia Edukacji Społecznej i Prawnej „Ius et Ratio”

28 • Sprawiedliwość nie ucierpi
Grzegorz Szacoń, Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

30 • Film polski jako element polityki historycznej
Maciej Maciejowski

32 • Filozofia praktyczna i sofistyka
dr Daniel Bogacz, Wydział Prawa i Administracji US

34 • Nie chcieli ale musieli Przymusowa straż pożarna w Czaplinku
Paweł Szulc, OBEP IPN Szczecin

36 • Trybunał Koronny I Rzeczypospolitej
dr Marek Tkaczuk, Katedra Historii Prawa Wydział Prawa i Administracji US

37 • Brak wieku jako przeszkoda do zawarcia związku małżeńskiego
Ksiądz dr Janusz Posadzy

38 • PACTA SUNT SERVANDA - po niemiecku
Remigiusz Hyży

42 • A może tak na ryby...
Para–Graf

ingremio

Miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

www.ingremio.org

Wydawca:
Okręgowa Rada Adwokacka w Szczecinie,
ul. Narutowicza 3; 70-231 Szczecin

Redaktor Naczelny:
adw. Roman Ossowski
roman.ossowski@ingremio.org

Rada Programowa:

Zygmunt Chorzępa
Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie

Marian Falco
Dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie

Andrzej Gozdek
Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

Tadeusz Haczkiewicz
Prezes Sądu Apelacyjnego w Szczecinie

dr Błażej Kolasiński
Prokurator Apelacyjny w Szczecinie

Leszek Pietrakowski
Prezes Izby Notarialnej w Szczecinie

Zespół współpracowników:

P. Dobrołowicz, M. Kładny,
M. Łyczywek, A. Tokarski, M. Weissgerber, M.

e-mail:
redakcja@ingremio.org
piotr.dobrolowicz@ingremio.org
mariusz.weissgerber@ingremio.org

tel. 091 434 01 15

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

Druk: Angraf, ul. Wojska Polskiego 43, Piła tel. (067) 352 20 24

ISSN: 1732-8225; Nakład 2500 egzemplarzy

fot. Monika Romańska

Demokracja to system, który gwarantuje nam, że nie będą nami rządzić lepiej, niż na to zasługujemy.

(George Bernard Shaw)

A może... Monarchia?

Dawno, dawno, kiedy byłem młodym, pierwszoliniowym prokuratorem, zdarzało się, że cenzurowałem listy do i z aresztu śledczego. Pamiętam czas, gdy za sprawą jakiegoś obdarzonego talentem poetyckim „pisarza", większość z nich zaczynała się przepyszną inwokacją: „korzystając z chwili wolnego czasu..."

Dzięki uprzejmości min. Ziobry, który zdjął z moich barków ciężar odpowiedzialności za Prokuraturę Okręgową w Słupsku, mam teraz więcej wolnego czasu i skorzystałem zeń.

Szperając w mojej bibliotece natknąłem się na projekt „Konstytucji Państwa Polskiego" autorstwa prof. Józefa Buzka, wniesiony do Sejmu 30 maja 1919 r. Przeczytałem ów akt starannie (ach, to dobrodziejstwo wolnego czasu) i doznałem olśnienia. Minęły epoki, zaborcy, okupanci, upłynęło niemal stulecie, skończyła się II Rzeczpospolita, podobno III też się skończyła, a tu leży przede mną jakże aktualny tekst, spełniający nieskrywane tęsknoty pewnej części polskiej klasy politycznej.

Czytam: Art. 2. *„Władzę ustawodawczą sprawuje w Państwie Polskim Król łącznie z Sejmem..."*, Art. 3. *„Osoba królewska jest uświęcona i nietykalna."*

I dalej: Art. 4. *„Królowie polscy będą wyznania rzymsko-katolickiego. Królowa nie może należeć do innego wyznania. Potomstwo Królewskie winno być wychowywane w wierze rzymsko-katolickiej."*

I dalej, że Król zwołuje Sejm, czyli Senat i Izbę Poselską, że może tę Izbę i obieralną część Senatu rozwiązać bez jakichkolwiek ograniczeń, że mianuje i odwołuje ministrów, jest naczelnym wodzem sił zbrojnych.

Projekt zakłada dziedziczność Korony Królewskiej wg zasad pierworództwa i tu pojawia się pierwszy i w zasadzie jedyny problem adaptacji tego aktu.

Dalej znowu jest świetnie – *„...senatorowie i posłowie są przedstawicielami ogółu ludności składającej państwo, winni się kierować względami na dobro całości państwowej i nie mogą być krępowani żadnemi instrukcjami wyborców..."*(art. 37.)

Połowa senatorów miała pochodzić z wyborów – w drugiej, z urzędu, znaleźliby się: książęta krwi, arcybiskup warszawski, biskupi diecezjalni katoliccy obrządku łacińskiego, greckiego i ormiańskiego mianowani dożywotnio przez Króla, po jednym przedstawicielu duchowieństwa ewangelicko-reformowanego i ewangelicko-augsburskiego, mianowani przez Króla prezydenci Najwyższego Sądu, Najwyższego Trybunału Administracyjnego, prezes najwyższego w państwie stowarzyszenia naukowego wskazanego rozporządzeniem Królewskiem oraz: Senatorowie w liczbie 14 mianowani przez Króla, 4 przedstawiciele rolników większych i drobnych, 3 przedstawiciele zrzeszeń przemysłowych, 3 - zrzeszeń handlowych i spółdzielczych, 3 przedstawiciele zrzeszeń i związków robotniczych, 1 - zrzeszeń naukowych i ...(uwaga!) - mianowani dożywotnio przez Króla „znawcy spraw państwowych i społecznych, potrzeb nauki i sztuki..." (art. 48.)

Ewentualne opory znanej i obecnie bardzo wpływowej rozgłośni przed przyznaniem praw wyborczych jedynie mężczyznom (art. 37.) oraz pozbawieniem tychże praw osób korzystających z dobroczynności publicznej (art. 41.) w moim najgłębszym przekonaniu mógłby przełamać ten oto fragment uzasadnienia projektu: *„...Jedni członkowie Komisji opowiedzieli się za niewyznaniowością państwa, drudzy - przeciw. Zwyciężył pogląd, że charakter kościoła rzymsko-katolickiego jako stróża religii olbrzymiej większości narodu, powinien być bardzo mocno podkreślony i że teoria niewyznaniowości państwa sprzeciwia się rzeczywistości..."*.

Według projektu Komisji *„stosunek państwa do kościoła rzymsko-katolickiego ma być określony w porozumieniu ze Stolicą Apostolską, religia zaś rzymsko-katolicka ma być religią stanu, tj. wszystkie akty religijne, towarzyszące uroczystościom państwowym, mają się odbywać według obrządku kościoła rzymsko-katolickiego..."*.

Ostatnie wątpliwości niech rozwieje ten cytat z uzasadnienia projektu: *„...W chwili rozpoczęcia pracy Komisji Sejmowo-Konstytucyjnej (styczeń 1917 – przyp. mój) wszyscy jej członkowie - nie wyłączając należących do stronnictw lewicowych, stanęli na stanowisku, że dla Polski obecnie, ze względu na charakter narodu, niewyrobienie polityczne, warunki panujące, najodpowiedniejszą formą rządu jest ustrój monarchiczno-konstytucyjny. Dopiero później, pod wpływem rewolucji rosyjskiej, zaczęto coraz głośniej, nie tylko wśród stronnictw lewicowych, ale i konserwatywnych, mówić o republice. Komisja jednak pozostała na stanowisku ustroju monarchiczno-konstytucyjnego, ponieważ nie chciała pod wpływem teorii, o której nie wiedziano, czy stała się własnością narodu, przerywać pracy i wypracowała projekt odpowiadający dewizie przyjętej przez nią od początku: "silny rząd, silny Sejm"*. – koniec cytatu.

To powinno przekonać do projektu ostatnich niedowiarków z obozu narodowego. Wybory do Izby Poselskiej co 5 lat, a do Senatu co 10, silna władza centralna, rezygnacja z poprawnych politycznie, ale kosztownych procedur demokratycznych, to przecież realizacja tak nośnej propagandowo, ale kulejącej w praktyce, idei taniego państwa. Szeroko pojęty obóz obecnej władzy z pewnością znajdzie kandydata *non plus ultra* na protoplastę dynastii (może niekoniecznie Romanowych). Konstytucyjne wzmocnienie roli kościoła katolickiego, zerwanie z libertyńską zasadą rozdziału kościoła od państwa, powstrzymanie pochodu masonerii, liberałów, zielonych, ekologów, kosmopolitów, tudzież komuny, gejów, lesbijek, a także narkomanów, zboczeńców, pacyfistów, sekciarzy i ateistów to ziszczenie najpięk-

Mirosław Kido, prokurator Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku, do 10 lutego 2006 r. Prokurator Okręgowy w Słupsku

niejszych snów wszechpolskiego patrioty i realizacja hasła odnowy moralnej.

Jeżeli dodam, że nie będziemy już musieli wybierać pomiędzy Niceą a śmiercią (w Okopach Świętej Trójcy), ponieważ Król suwerennym dekretem wypowie traktat akcesyjny, to przyznam, że sam doznaję jakiegoś dziwnego wzruszenia. Toż najtęższe umysły prawdziwych patriotów, przez przeciwników pogardliwie nazywanych eurosceptykami, nie ustają w szlachetnym wysiłku wycofania się z Brukseli, ale tak, by nie stracić głosów wyborców i dotrwać do końca poniżającej, ale lukratywnej kadencji w europarlamencie. A tu proszę – gotowe, bezpieczne i ostateczne rozwiązanie tej kwestii. Postulowane ostatnio ograniczenie immunitetu parlamentarnego okazuje się powrotem do propozycji prof. Buzka.

– art.60. stanowi, że członkowie Sejmu nie mogą być pozbawieni wolności, ani też postępowanie karne nie może być przeciwko nim wdrażane bez uprzedniej zgody właściwej Izby Sejmowej, o ile nie będą schwytani na gorącym uczynku, *...ale tylko w ciągu sesji Sejmu i 6 tygodni po...”*

„...Wyroki i orzeczenia sądowe mają być wydawane w imieniu Królewskim, sędziowie będą wybierani dożywotnio przez Króla, chociaż będą „samodzielni i niezawiśli w wykonywaniu swego urzędu, podlegając tylko ustawom..” (art.99,101,102.). O prokuraturze projekt milczy i przez to staje się bliższy obowiązującej obecnie konstytucji. Na pocieszenie muszę jednak dodać, że mój kolega prawnik, na dodatek jeszcze urodzony w Słupsku, P. Gosiewski, prominentny przedstawiciel obozu rządzącego, rzucił śmiałą myśl – jeżeli proponowane przez nas regulacje prawne są niezgodne z konstytucją, to trzeba zmienić... konstytucję. Prostota tego pomysłu wywołuje u mnie zawistny podziw, chociaż uspakajam się, że nie każdy rodzi się Aleksandrem Macedońskim. Powstała wobec tego szansa zmiany konstytucji, czy wręcz uchwalenia nowej i stąd mój pomysł wtrącenia trzech groszy. Może dzięki temu moja przynależność do warstwy inteligencji, zwanej elegancko łże-elitą, zostanie mi wybaczona.

Moja rozpasana wyobraźnia (ach, ten fatalny spadek po przodkach) podsuwa mi obrazy matejkowsko-grottgerowskie - oto znowu polskie hufce na rubieżach przedmurza, Najjaśniejszy Pan na Wawelu (po zwycięskim powrocie spod Pskowa, przez Warnę, Buczacz, Chocim i Cecorę), stronnictwo królewskie w Sejmie (z 98 procentową większością), a gracze zielonostolikowi co do jednego w twierdzy. W swoim niepohamowaniu i pysze (znowu ci przodkowie) niemal już widzę, jak nasz Monarcha, wdzięczny za tę iskrę, która dała początek Królestwu, mianuje mnie dyrektorem gabinetu politycznego, a minister z Krakowa przysyła bileciki wizytowe z miłą treścią.

Pora jednak ochłonąć, Króla jeszcze nie mamy, minister z Krakowa utrzymuje ze mną jedynie pośredni kontakt (pani Rzecznik Dyscyplinarna wie o czym mowa), a hufce nasze na krańcach świata uczą bisurmanów demokracji. W Sejmie niepewna koalicja z jakimiś, choćby i narodowymi, ale demokratami i zbuntowanymi włościanami, układ odradza się jak łby hydry, chociaż w twierdzy brakuje już miejsca. Dobrze nie jest, ale nie trzeba tracić nadziei (jak mawiał u Haška Cygan Janeczek w Pilźnie, kiedy w roku 1879 zakładali mu stryczek na szyję), dlatego na koniec przytoczę fragment Projektu Deklaracji Konstytucyjnej z 3 maja 1919 r., dzisiejszym tytanom myśli politycznej pod rozwagę:

„Przy opracowywaniu tego projektu kierowała nami nie chęć dogodzenia jakiemukolwiekbądź pojedynczemu kierunkowi myśli politycznej i prądowi społecznemu, lecz nade wszystko staraliśmy się wniknąć w szerokie uczucia mas narodu i nadać Rzeczypospolitej treść i szatę, odpowiadającą naszej rodzimej myśli, nie zapożyczoną od wzorów cudzoziemskich. Dziś stajemy wobec zagadnienia, czego my chcemy, jaką ma być Polska. Musi być tutaj zachowana ciągłość myśli polskiej, zaczerpnięta nie z jednej głowy, nie w jednem pokoleniu, ale stanowiąca wynik pracy, życia i doświadczenia wielu pokoleń i wieków...”

Dziedziczne zuchwalstwo (wzmocnione przekonaniem, że stosy to anachronizm) nie pozwala mi podpisać tego tekstu pseudonimem. [ ]

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

„Niewiele jest narodów, które na przestrzeni minionych dwustu lat byłyby świadkami tylu akcji wojennych co Polacy. Jednocześnie zaś żaden inny naród w Europie nie otrzymał równie skromnej nagrody za przelany pot i krew.”

Norman Davies -
Złote ogniwa. Polska - Europa

Osiemdzies

Wydarzenia, które chciałbym przypomnieć, wystają ponad brzeg pamięci najczęściej dwoma określeniami: „bitwa warszawska” i „cud nad Wisłą”. Przy czym jedynie to drugie jest zgodne z prawdą. W zasadzie nie było żadnej bitwy warszawskiej. A finał wielomiesięcznych różnorodnych wydarzeń miał rozegrać się w Warszawie w dniach 14–15 sierpnia 1920 r. jedynie według rozkazu dowództwa zachodniego frontu sowieckiego z dnia 8 sierpnia, faktycznie zaś rozegrał się w kilka dni później na znacznie szerszym obszarze na południe, wschód i północ od Warszawy.

Żaden kraj nie może istnieć bez granic. Najokrutniejsza z wojen, za jaką uznano w tamtych czasach wojnę 1914–1918 r., zlikwidowała wszelkie granice stawiając sąsiadujące ze sobą narody w jeszcze większym konflikcie niż przed jej wybuchem. Przyroda nie znosi próżni: kiedy w lutym 1919 r. wojska niemieckie opuściły zajmowane nad Niemnem tereny należące dziś do Białorusi, w pustkę tę wessane zostały wojska polskie i rosyjskie, tworząc kolejną sytuację konfliktową.

Sytuacji tych było znacznie więcej. W dniu 1 listopada 1918 r. Ukraińcy proklamowali na terenie Galicji Wschodniej Zachodnioukraińską Republikę Ludową, co przyniosło m.in. krwawe walki o Lwów. Na skutek

odsieczy 22 listopada Lwów znalazł się w polskich rękach. Jednakże na początku marca 1919 r. wojska ukraińskie znowu przejęły ziemię lwowską. Następny konflikt to konflikt polsko–litewski podsycany zarówno przez Niemców jak i Rosjan udzielających wsparcia nacjonalistom litewskim. Rząd litewski ogłosił Wilno stolicą, mimo iż ludność litewska stanowiła w nim najwyżej 5%.

Bolszewicy już na przełomie 1918 i 1919 r. myśleli o udzieleniu militarnego wsparcia rewolucji w Niemczech. Polska była jedynym zakładanym kierunkiem natarcia. Jakkolwiek podejmowano próby rokowań pokojowych miedzy Polską a Rosją, to jednak rosyjski Front Zachodni był systematycznie wzmacniany, osiągając w końcu kwietnia 1920 r. stan 20 dywizji piechoty i 5 brygad kawalerii.

Według dzisiejszych standardów obyczaju międzynarodowego należało powstrzymać się od jakichkolwiek akcji militarnych, licząc na rozwiązania traktatowe, zwłaszcza konferencji pokojowej w Wersalu. Mimo żelaznej argumentacji wystąpień Romana Dmowskiego wygłaszanych dobrą francuszczyzną i nienaganną angielszczyzną, roszczenia i oczekiwania Polski były lekceważone, a uczestnicy konferencji

iął sześć lat temu

[Marian Szabo]
Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie w stanie spoczynku

chcieli Polskę ograniczyć do terenów zamieszkałych przez rdzennych Polaków. Wynikało to zarówno z chęci niedrażnienia sąsiadów naszego kraju, jak i zwykłej nieznajomości rzeczy (premier brytyjski np. uważał, że Śląsk leży gdzieś w Azji Mniejszej).

Jeśli wreszcie zauważyć, że uchwały tej konferencji oddawały konkretne rozstrzygnięcia przyszłym plebiscytom (np. los czterech powiatów w Prusach Zachodnich, los części Prus Wschodnich oraz Górnego Śląska; Galicję Wschodnią Rada Najwyższa oddała Polsce na 25 lat, po czym decyzję miała podjąć ludność w plebiscycie), to oczywistym staje się, że politycy odpowiedzialni za losy państwa z tytułu sprawowanej władzy usiłowali zapewnić korzystne rozwiązania swoim narodom w drodze różnorodnych działań jednostronnych.

Piłsudski nie dążył do uregulowania wzajemnych stosunków z Rosją Radziecką traktując ją jako epizod w dziejach Rosji i nie chcąc utrudniać sobie przyszłych stosunków z jej następcą prawnym. Nadto zdawał sobie sprawę z tego, że państwa Ententy traktują go nieufnie z powodu socjalistycznej przeszłości. Wreszcie byłoby to sprzeczne z jego koncepcją ustalenia relacji między państwami - od Ukrainy po Finlandię - na zasadzie federalizmu, czemu zagrażały hegemonistyczne plany Rosji.

16 kwietnia 1919 r. Piłsudski rozpoczął operację mającą na celu zajęcie Wilna i Wileńszczyzny; w dniu 21 kwietnia Wilno znalazło się w polskich rękach. 14 maja 1919 r. przystąpił do ofensywy w Galicji Wschodniej. Na skutek nacisków Ententy ofensywa została wstrzymana już 27 maja. Jednakże 25 czerwca, wobec realności obawy zajęcia tych terenów przez bolszewików, Rada Najwyższa konferencji wersalskiej upoważniła rząd Polski do wprowadzenia w Galicji Wschodniej tymczasowej okupacji na jej terenach po rzekę Zbrucz.

Na początku 1920 r. do Polski dotarł sygnał wskazujący, że niebawem rozpocznie się ofensywa wojsk rosyjskich. Tym sygnałem było powierzenie dowództwa Frontu Zachodniego Michaiłowi Tuchaczewskiemu – 27-letniemu niezwykle uzdolnionemu taktykowi i teoretykowi wojny.

25 kwietnia ruszyła kierowana przez Piłsudskiego ofensywa, której celem militarnym było rozbicie Armii Czerwonej, a celem politycznym – stworzenie burżuazyjnego państwa ukraińskiego. Polacy i Ukraińcy wkraczający do Kijowa powitani zostali jako wyzwoliciele.

Tuchaczewski, chcąc uniknąć zepchnięcia go do obrony, podjął decyzję o przegrupowaniu i rozpoczęciu na dzień 14 maja ofensywy mającej na celu rozbicie wojsk polskich i wciśnięcie ich resztek w błota pińskie. Ofensywa ta była skutecznie i bohatersko powstrzymywana zwłaszcza przez wojska 10 Dywizji Piechoty i VII Brygady Rezerwowej.

W pierwszej połowie czerwca na całym froncie zapanował spokój równowagi. Jednakże wkrótce strona rosyjska podjęła szereg działań w celu uzyskania przewagi. Między innymi zmobilizowano ok.100 tysięcy dezerterów dotąd skutecznie uchylających się od poboru. W końcu czerwca plan podwojenia składu bojowego wojsk sowieckich został niemal całkowicie wykonany. Wobec niedostatku środków przewozowych zmobilizowano ok.33 tysiące podwód.

Mając na uwadze kierunek natarcia na prawym skrzydle wojsk sowieckich naprzeciwko 30 tys. polskich bagnetów i szabel postawiono ok.60 tys. żołnierzy rosyjskich. Na mniej ważnym skrzydle natarcia stosunek sił był odwrotny.

Ofensywa rozpoczęta 4 lipca rozwijała się pomyślnie dla wojsk sowieckich. Po przejściu Białorusi pozyskały one ok.30 tysięcy kolejnych rekrutów. 14 lipca zajęto Wilno, 19 –go padła twierdza Grodno, 2-go sierpnia – Łomża i niebawem Brześć. Sforsowano Niemen i rzekę Szczory.

Front Zachodni otrzymał dyrektywę głównodowodzącego zajęcia Warszawy na dzień 12 sierpnia. W końcu lipca rozpoczynają się walki nad Narwią, Bugiem i Biebrzą. Trwają one do 6 sierpnia, w którym to dniu 16 Armia Sowiecka sforsowała Bug. Nie oznacza to, że wojska nasze były sromotnie bite. Piłsudski, który był przeciwnikiem wojny pozycyjnej a powodzenia wszelkich działań militarnych upatrywał w uderzeniu będącym rezultatem ruchu, sugerował inteligentne wycofywanie się oddziałów bez wyniszczających bojów celem dokonania w odpowiednim miejscu koncentracji i przejścia do kontrofensywy.

Mówiąc o ofensywie Frontu Zachodniego trzeba mieć na uwadze istnienie drugiego frontu sowieckiego, tj. Południowozachodniego, którego oddziały należało wiązać, uniemożliwiając im nawiązanie współdziałania z Frontem Zachodnim. Szczególną groźbę stanowiła dynamiczna Armia Konna Budionnego. Jej rozbicie w bitwie pod Brodami stworzyło zalążek przyszłego zwycięstwa.

Pozwoliło też przenieść 18 Dywizję Piechoty do zagrożonej Warszawy. Równie zwycięskie bitwy pod Chełmem i Hrubieszowem skutecznie neutralizowały zagrożenie ze strony 12 Armii sowieckiej. Ten brak współdziałania sowieckich frontów, luka pomiędzy nimi pozwalająca na skoncentrowanie w zakolach Wieprza pięciu i pół dywizji, a następnie flankowe uderzenie na wojska 16, 3 i 15 sowieckiej Armii to istota cudu nad Wisłą. Jego przesłanką była także okoliczność zwiększająca wówczas poczucie zagrożenia, a mianowicie energiczny marsz 4 Armii gen. Siergiejewa w kierunku Płocka, a nawet Włocławka. Zapuszczona tak dalece na północny zachód 4 Armia w decydujących chwilach nie była w stanie odegrać jakiejkolwiek roli.

Poczucie zagrożenia było ogromne. Wynikało ono zarówno z dotychczasowego tempa posuwania się wojsk sowieckich, jak i ich dyslokacji. Według rozkazu dowództwa frontu z dnia 8 sierpnia, uderzenie główne przewidziano na północ od Warszawy; 4 Armia miała sforsować Wisłę w rejonie Płocka i ubezpieczać się w kierunku Torunia, 15 Armia miała sforsować Wisłę w kierunku Łowicza, 3 Armia w kierunku Wyszogród – Modlin, 16 Armia na północ od Warszawy ubezpieczając się w kierunku Garwolina, zaś grupa Morzyska miała forsować Wisłę w rejonie Dęblina.

W nocy z 5 na 6 sierpnia w Belwederze Piłsudski obmyślał skuteczny sposób przeciwdziałania tej nawale i podjął następującą decyzję: trzy dywizje 4 Armii, tj.14,16 i 21, które niemal do ostatnich chwil toczyły ostre boje nad Bugiem, muszą oderwać się od nieprzyjaciela i podjąć ukośny marsz aż pod Dęblin. Na to miejsce koncentracji miały z południa przybyć 1 i 3 Legionowe Dywizje Piechoty będące cały czas w bojowym kontakcie z nieprzyjacielem. 1 Dywizja Legionowa 8 sierpnia rozbiła 24 Dywizję sowiecką i szybko zdążała do Sokala, gdzie czekały na nią pociągi transportowe. Natomiast 3 Dywizja Legionowa przemieszczała się spod Hrubieszowa marszem pieszym.

12 sierpnia Piłsudski wyjechał z Warszawy do Puław, gdzie została zorganizowana jego kwatera. Opuszczał Warszawę spokojny o jej los, pozostawiając tam prawie 15 dywizji wojska, nadto artylerię i lotnictwo, to jest siły, które powinny jej obronić. Po latach powie, że wybrał „założenie nonsensowne, dając do pasywnych prac obrony trzy czwarte wojska, a do ataku jedną czwartą".

Trudno być prorokiem we własnym kraju. Nie jest powszechnie znanym fakt, że jedną z ostatnich czynności Piłsudskiego przed wyjazdem z Warszawy była wizyta u premiera Witosa, któremu złożył dymisję. Dwa dni wcześniej bowiem rząd otrzymał depeszę informującą, że warunkiem udzielania Polsce dalszej pomocy jest ustąpienie Piłsudskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza. Dodać należy, że Witos złożoną dymisję odłożył do sejfu i do sprawy nie wrócił.

Założeniem Piłsudskiego było uderzenie 17 sierpnia siłami skoncentrowanymi na linii Wieprza ku północy na flankę i tyły wojsk rosyjskich. 14 sierpnia wojska rosyjskie zdobyły szturmem Radzymin, na północy 4 Armia sowiecka zdecydowanie naciskała w kierunku Płocka, Włocławka i Brodnicy. Na południu pod naciskiem Armii Konnej nasza 6 Armia zaczęła wycofywać się w kierunku Lwowa. Pod wpływem tych wiadomości Piłsudski przyśpieszył atak o jeden dzień i 16 sierpnia z rana uderzył szerokim dość frontem, mając na lewym skrzydle 14 Dywizję Piechoty, na prawym zaś 1 Legionową. 14 Dywizja, minąwszy swobodnie Garwolin, już od południa weszła w sferę działania 16 Armii sowieckiej. W ciągu dnia wszystkie oddziały pokonały ok.30 km.

17 sierpnia 1 Dywizja Legionowa wyprzedzając pozostałe oddziały osiągnęła Białą i Międzyrzec. 3 Dywizja Legionowa rozbiła 58 Dywizję sowiecką i szybko zmierzała w kierunku Włodawy i Brześcia. 21 Dywizja dotarła do Łukowa. 16 Dywizja parła na Kałuszyn. W nocy 14 Dywizja stoczyła ostry bój pod Kołbielą.

W tej sytuacji Piłsudski powziął zamiar skierowania 2 Dywizji Legionowej, ewentualnie także 16 Dywizji Piechoty, do pomocy walczącej 14 Dywizji. Ale rano 18 sierpnia w Kołbieli było już cicho.

Zwycięska 14 Dywizja ruszyła pospiesznie w kierunku Mińska, gdzie stoczyła bój z 8 i 10 Dywizją Armii sowieckiej, zmuszając ją do panicznej ucieczki wraz z 17 dywizją tej armii. Pozostałe dwie dywizje, tj. 2 i 27 także zostały rozbite i 16 Armia sowiecka przestała istnieć jako zwarta jednostka organizacyjna. Przez szereg godzin pierwszego dnia polskiego natarcia nie napotykano na ślad grupy oddziałów Grupy Mozyrskiej, które niezwykle dynamicznie posuwały się do przodu w czasie letniej ofensywy, co napawało pewnym niepokojem. Na 58 Dywizję natknęła się, wchodząca w skład tej Grupy, 3 Dywizja Legionowa,

rozbijając ją zupełnie. Natomiast 57 Dywizja znalazła się na linii działania 21 Dywizji Piechoty i 1 Dywizji Legionowej. Na określenie tego, co się z nią stało, słowo „rozbicie" nie byłoby trafne. Piłsudski wspomina, że dywizja ta została „rozpylona" do tego stopnia, iż jeńcy z 57 Dywizji brani byli przez wszystkie nasze wojska, zaczynając od lewoskrzydłowej 14 Dywizji po prawoskrzydłową 1 Legionową na przestrzeni od Wieprza aż po Białystok i Łomżę. Pod wpływem uderzenia jeszcze szybciej uchodziły na wschód oddziały 3 Armii sowieckiej.

Dużą wartość bojową przedstawiała 15 Armia sowiecka, jednakże pod naciskiem naszej 5 i 1 Armii, 19 sierpnia zaczęła uchodzić na wschód i 21 sierpnia osiąga Łomżę. Następnego dnia polska 15 Dywizja silnym uderzeniem zdobyła Łomżę. Na zachodzie pozostała jeszcze sowiecka 4 Armia. 23 sierpnia 14 i 15 Dywizja naszej 4 Armii rozbiły ją i zmusiły do przejścia granicy Prus Wschodnich, gdzie złożyła broń.

Michaił Tuchaczewski w cyklu wykładów na Akademii Wojskowej w Moskwie wygłoszonych w lutym 1923 r., a następnie spisanych w rozprawę „Pochód za Wisłę", tak wspomina finał tych działań

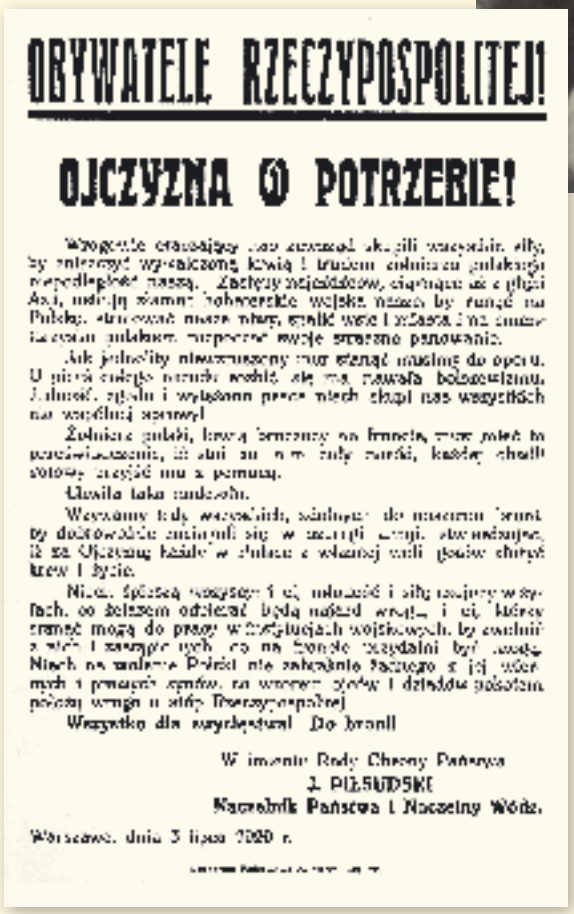

OBYWATELE RZECZYPOSPOLITEJ!

OJCZYZNA W POTRZEBIE!

Wrogowie otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krwią i trudem całego narodu niepodległość naszą. Zachęty najeźdźców, ciągnące się z głębi Azji, odniosły skutek. Bolszewickie wojska runęły na Polskę, chcąc nasze ziemie, spalić wsie i miasta i na zniewolenie całego narodu wprowadzić swoje straszne panowanie.

Jak jednolity niewzruszony mur stanął naród do oporu. U progu całego narodu rozbił się na nawałach bolszewizmu. Jedność, zgoda i wyższość ducha chroni nas wszystkich na wspólnej mogile.

Żołnierze polski, krwią broniony na froncie, musi mieć to przekonanie, że cały za nim tył zwarty, każdy chciałby osobiście stanąć mu u pomocy.

Chwila taka nadeszła.

Warszawy tłumy wszystkich, zbiegnijcie do naszych okopów, by dodatkowymi zmianami się w szeregi wcisnąć, stwierdzając, iż za Ojczyznę każdy z Was gotów chętnie krew i życie.

Niech spłoszą wrogów te oczy, natchnione i siły nasze w sercach, co żelazem odzierać będą nadarzy wrogu i ci, którzy zranieni mogą do pracy w fortyfikacjach wojskowych, by ewakuacji z nich i zastąpienie tych, co na froncie walczyli byli wolni. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej synów, by wróg nie zdołał zgnębić, na wieczny zgubę i dziedzictwo potomnych wrogu u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!

W imieniu Rady Obrony Państwa
J. PIŁSUDSKI
Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz.

Warszawa, dnia 5 lipca 1920 r.

wojennych: *„Nasze oddziały w najżałośniejszym stanie ściągały na linię Grodno–Wołkowysk i stąd wracały do swoich armii. Uzupełnienia zostały wlane do istniejących nadal kadr i po mniej więcej 2- 3 tygodniach siły frontu zostały przywrócone. Przybyłe uzupełnienie było nie umundurowane, nieobute, pomimo pory jesiennej. O ofensywie można było myśleć dopiero po otrzymaniu umundurowania. Polacy przeszli pierwsi do ofensywy i odwrót stal się nieunikniony."*

Wszczęto rokowania pokojowe i w ich wyniku 12 października podpisano rozejm, a następnie 18 marca 1921 r. traktat pokojowy w Rydze.

Na mocy tego traktatu Polska otrzymała ok.114 tys. km² i 4 miliony ludności ponad obszar zakreślony linią Curzona ustaloną w traktacie wersalskim. Nadto zapewnienie zwrotu wywiezionego przez władze carskie mienia kulturalnego i zapłatę 59 milionów rubli tytułem udziału ziem polskich w życiu gospodarczym Rosji oraz wynagrodzenia za zabrany przez Rosjan tabor kolejowy. [ ]

Gdzie ci mężczyźni?

dr n. med. Ewa Kramarz,
specjalista psychiatra, biegła sądowa

Jeśli to, o czym piszę, jest tematem znanym, oczytanym, „przegadanym", niepotrzebnie poruszanym i nieaktualnym z uwagi na przedział wiekowy części odbiorców miesięcznika, to proszę darować sobie czytanie tekstu. Jeśli jednak nie czujemy się zwolnieni od myślenia, a nadto drzemią w nas resztki autokrytycyzmu, to pozwólmy kolejny raz przyglądnąć się problemowi.

Abortio, –onis (łac.) oznacza poronienie płodu lub jego części albo zatrzymanie prawidłowego lub chorobowego procesu. ***Interruptio, –onis*** (łac.) oznacza dosłownie przerwę, przerwanie, na przykład: *interruptio graviditatis* (***graviditas, –atis***, łac. – ciąża, brzemienność).

Życie człowieka rozpoczyna się w chwili wniknięcia plemnika do komórki jajowej. Tworzy się blastocysta, proces zagnieżdżenia blastocysty trwa od kilku do kilkunastu dni, z jednej grupy komórek blastocysty powstaje trofoblast, z drugiej – zarodek. Blastogeneza to 1–2 tydzień ciąży, od 3 –go do 11 –go tygodnia to tzw. embriogeneza, czyli okres zarodkowy.

Po zagnieżdżeniu zarodek może wymieniać produkty przemiany materii, pobierać tlen i inne niezbędne do rozwoju substancje – poprzez łożysko.

Termin "zarodek" stosuje się w odniesieniu do etapu rozwoju obejmującego okres od 3 do 8 tygodnia od zapłodnienia. W tym okresie pojawia się ogólny schemat budowy wszystkich ważniejszych narządów i układów. Pod koniec 8 tygodnia płód przypomina miniaturę dorosłego człowieka. 21–31 dzień życia płodowego (35–40 dzień od początku ostatniego krwawienia menstruacyjnego) to różnicowanie się ośrodkowego układu nerwowego, przewodu pokarmowego, skóry, szkieletu, układu mięśniowego. Między 34 a 39 dniem życia płodowego rozwijają się kończyny. Po 8–10 tygodniu życia zarodek jest w pełni zróżnicowany, zaczyna się okres płodowy (12–40 tydzień), w którym zwiększają się wymiary i masa ciała płodu a narządy ulegają specjalizacji. Ostatni okres ciąży to okres okołoporodowy i porodowy. Jeśli się do tego okresu dojdzie.

W milczeniu wspominam koniec lat 60–ych, kiedy to w piątki po południu gabinety ginekologiczne były oblegane przez młode osoby płci żeńskiej, często studiujące, dokonujące z tzw. ważnych przyczyn zabiegu aborcji. Niczym ekstrakcji zęba, niekoniecznie – mądrości. Już wówczas przy młodych niewiastach nie było przedstawicieli płci odmiennej, którzy – niejako z natury rzeczy – winni kobiecie towarzyszyć, wspierać, podtrzymywać na duchu, pocieszać, usprawiedliwiać, rozgrzeszać itd. Lata mijały, ustawy się zmieniały, poglądy na aborcję – też, kobiety chodziły z tabliczkami: mój brzuch to moja własność, kolejne ekipy rządzące szafowały zagadnieniem aborcji jako argumentem przetargowo – wyborczym. A panów nadal nie było. I w naszych gabinetach konsekwentnie ich nie ma. Kobiety są stale. Dziewczęta będące w ciąży i chcące ją usunąć lub już po aborcji, uczące się, studiujące, pracujące, wolne, w nieformalnych związkach z rówieśnikami, w związkach z dojrzałymi mężczyznami mającymi rodzinę, dorosłe potomstwo. Kobiety posiadające już dzieci, będące w kolejnej ciąży. Kobiety dojrzałe, pozostające w formalnym związku, ale przeżywające romans pozamałżeński z ciążą w tle, nakłaniane do aborcji. Kobiety, które zdecydowały się na usunięcie ciąży miesiąc temu, rok temu, kilkanaście lat temu, po raz pierwszy, drugi, trzeci, liczące aktualny wiek nienarodzonego dziecka, eksponujące niezrealizowane plany w stosunku do niego i złorzeczące pod adresem niedoszłego ojca.

Kontakt seksualny, w którym biorą udział przedstawiciele dwóch odmiennych płci, może skutkować tzw. poczęciem. I o tym – większość z nas wie. Panowie wiedzą o tym również. Jeśli udają, że nie wiedzieli, zapomnieli, nie przewidzieli, uważali, że ciężar prokreacji winien spadać wyłącznie na barki kobiety (tzw. zabezpieczenie się – cóż za określenie, skąd ten język?), to czynią to w ramach tzw. postawy obronnej, eufeministycznie zwanej męską kokieterią. Urocze to, chociaż na dłużej – trudne do tolerowania.

Efekt kontaktu intymnego, czyli nierzadko ciąża, pozostaje już tylko – przynajmniej u naszych pacjentek – wyłącznie ich problemem. Tak to podobno przedstawiają panowie. W zdecydowanej większości przypadków – kobiety, bez względu na to, co sobą reprezentują i jak argumentują – chcą po prostu urodzić dziecko. Dlaczego więc przychodzą do gabinetów psychiatrycznych, a nie wyłącznie do ginekologiczno – położniczych? Bo albo nie mają żadnego wsparcia ze strony dotychczasowego partnera, albo są namawiane, nakłaniane, czasem – wręcz zmuszane – do aborcji. Najczęściej – przez współautorów prokreacji. Zweryfikowanie relacji kobiet teoretycznie może być dyskusyjne, bo panów nie słyszymy. Ale widzimy te kobiety. W różnym wieku, w różnej sytuacji materialnej, życiowej, osobistej, rodzinnej, zawodowej. Widzimy ich bezradność w stosunku do decyzji już za nie podjętej przez przedstawiciela tzw. „silnej płci". „Jakoś to załatw" – mówi pan wręczając wspaniałomyślnie pieniądze na wizytę u ginekologa i na „to coś jeszcze". Z komentarzem, że kobieta winną jest, bo „nie uważała", bo próbuje „złapać go na dziecko", bo przecież

powinna wiedzieć, co „z tym zrobić". Jeśli urodzi, to zniszczy mu karierę zawodową, rodzinę, którą od lat ma i nie chce jej stracić, co ludzie powiedzą itd., itp. Cytowane określenia są wypowiadane także przez panów reprezentujących prominentne środowiska i swoją wulgarnością, prymitywizmem, porażają.

Po takim dictum kobiety zachowują się różnie. Najczęściej dowartościowane materialnie udają się do odpowiednich miejsc, o których w ramach dyskrecji i nienarażania się na konsekwencje prawne nie mówią, ale gdzie osiągają efekt, inspirowany przez panów. Nie przypominam sobie – poza kilkoma pacjentkami autentycznie chorymi psychicznie, najczęściej na schizofrenię – kobiet, które z uśmiechem na ustach poddawały się zabiegowi aborcji. W tej chwili zresztą wypieranej przez tzw. tabletki wczesnoporonne, z tym samym skutkiem.

Panowie zaripostują, że do niczego nie inspirują, dając kobiecie swobodę decyzji. Dlatego kobiety przychodzą same. Z ostrymi reakcjami na stres, z zaburzeniami stresowymi pourazowymi, z zaburzeniami adaptacyjnymi najczęściej o obrazie zaburzeń lękowo – depresyjnych. Bywa, że zabieg aborcyjny wyzwala endogenny proces schizofreniczny lub głębokie zaburzenia depresyjne utrzymujące się latami. Zdarza się, że u kobiet po aborcji powstają po latach tzw. trwałe zmiany osobowości, głównie o klinicznym obrazie osobowości zaburzonej. Spotkałam się z ewidentnymi zaburzeniami życia uczuciowo – popędowego pojawiającymi się u kobiet, które zrealizowały decyzję o aborcji, z zespołami obsesyjno – kompulsyjnymi, a nawet – ze zmianą preferencji seksualnych. Nie mówiąc już o niemal nagminnym uzależnianiu się od alkoholu i o całej gamie problemów psychologicznych rzutujących na funkcjonowanie życiowe tych kobiet (lęk przed kontaktami z płcią odmienną, przed założeniem rodziny itd.).

Opiniując – jako biegły – osoby podejrzane lub oskarżone o czyny m. in. z art. 148 kk, chwilami bardziej rozumiem motywacje psychologiczno – psychopatologiczne sprawców tych czynów niż czynów aborcyjnych, które – w moim odczuciu – są również czynami z tego artykułu. Prawnicy powiedzą: przecież kobiety te trafiają na ławę oskarżonych. To prawda. Brakuje jednak – moim zdaniem – jeszcze kogoś w tej ławie. Ginekologów, anestezjologów, pielęgniarek i partnerów tych kobiet, moralnie odpowiedzialnych za ich decyzję.

Art. 18 kk par. 1 mówi przecież o tym, że odpowiada za sprawstwo nie tylko ten, kto wykonuje czyn zabroniony sam albo wspólnie i w porozumieniu z inną osobą, ale także ten, kto kieruje wykonaniem czynu zabronionego przez inną osobę lub wykorzystując uzależnienie innej osoby od siebie, poleca jej wykonanie takiego czynu. Par. 2 art. 18: odpowiada za podżeganie kto chcąc, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, nakłania ją do tego. Par. 3 art. 18: odpowiada za pomocnictwo, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie... odpowiada za pełnomocnictwo także ten, kto wbrew prawnemu, szczególnemu obowiązkowi niedopuszczenia do popełnienia czynu zabronionego swoim zaniechaniem ułatwia innej osobie jego popełnienie.

Czy łatwo ujawniają się osoby spełniające kryteria art. 18 kk? Nie. Kobieta nakłoniona do aborcji nie zadenuncjuje partnera, bo wówczas przyzna się do czynu, którego też się dopuściła.

Ginekolog, anestezjolog? Z oczywistych powodów nie uczynią tego. Psychiatra? Lepiej nie pamiętać tych panów. Zresztą – *nomina sunt odiosa* (Ovidius). Nam pozostaje zajmować się paniami. Mobilizować je do życia, walczyć z poczuciem winy, brakiem perspektyw, odczuciem uwiedzenia, porzucenia, odtrącenia, zlekceważenia ich kobiecości i instynktu macierzyńskiego, z obawą niezajścia już nigdy w ciążę. Musimy walczyć z uzależnieniami u tych kobiet, ponieważ najczęściej w alkoholu szukają pocieszenia. Uzależnienie od alkoholu u kobiet w ogóle, a u kobiet po aborcji szczególnie – przebiega szybko, z fizycznymi konsekwencjami w postaci charakterystycznego visusu, utraty urody, błyskawicznego starzenia się, nadchodzącej nieatrakcyjności, samotności. Musimy wreszcie walczyć z autentycznymi poaborcyjnymi zespołami depresyjnymi, którym nierzadko mogą i towarzyszą myśli i tendencje samobójcze. Pracy mamy dużo, teoretycznie jesteśmy w stanie tym kobietom pomóc, praktycznie jednak – nieubłaganie wchodzą gdzieś we wcale niemetrykalną smugę cienia.

Powyższe refleksje nie pojawiły się bezprzedmiotowo, ani nie są przejawem wojującego feminizmu. Po prostu ostatnio stoczyłam kilka walk o utrzymanie przy życiu małych istot. Wszystkie przegrałam. [ ]

fot. Artur Tokarski

Jerzy Pobocha
Maciej Strączyński

Szczecińska psychiatria sądowa – Wykonywanie środków zabezpieczających

Środek zabezpieczający, czyli – w praktyce – przymusowe umieszczenie w szpitalu psychiatrycznym osoby niepoczytalnej, która popełniła czyn zabroniony, jest znaną od lat instytucją z pogranicza prawa karnego i psychiatrii. Z jednej strony stosowany jest on wobec kogoś, kto stwarza swoim zachowaniem zagrożenie dla otoczenia. Wśród sprawców umieszczanych w szpitalach psychiatrycznych są przecież osoby, które dokonały czynów bardzo niebezpiecznych, w tym zabójstw i usiłowań zabójstw. Z oczywistych przyczyn nie mogą oni pozostawać na wolności jako niebezpieczni i dla innych, i dla siebie. Z drugiej strony należy pamiętać, że nie są to przestępcy. Są to ludzie chorzy, najczęściej nieuleczalnie, wymagający traktowania odpowiedniego dla osoby chorej, a nie oddziaływania resocjalizacyjnego.

Szczecin na mapie polskiej psychiatrii sądowej jawi się jako ośrodek mający przede wszystkim Oddział Psychiatrii Sądowej ZOZ Aresztu Śledczego Szczecinie, istniejący od 1974 roku i posiadający 30 łóżek, w tym 5 łóżek „leczniczych". Wydawanych jest tam corocznie ponad 100 opinii po przeprowadzonej obserwacji osób tymczasowo aresztowanych, na zlecenie sądów i prokuratur ze znacznej części Polski. Obserwacje i badania sądowo-psychiatryczne przeprowadzają też Oddziały Szpitalne SPS ZOZ „Zdroje" przy ul. Mącznej 4 i Klinika Psychiatrii PAM przy ul. Broniewskiego 26, a także oddziały psychiatryczne szpitali w Gryficach, Koszalinie i Kołobrzegu, przyjmujące osoby, wobec których nie zastosowano tymczasowego aresztowania. Szczecin jest nadto siedzibą Naukowej Sekcji Psychiatrii Sądowej Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, mieszczącego się w Centrum Psychiatrii SPS ZOZ przy ul. Żołnierskiej 55. Na 11 członków Zarządu Sekcji sześciu jest ze Szczecina, w tym i Przewodniczący. Sekcja ta jest organizatorem międzynarodowych konferencji naukowo-szkoleniowych.

Z drugiej jednak strony województwo zachodniopomorskie jawi się również jako biała plama w sieci zakładów psychiatrycznych wykonujących środki zabezpieczające. Jest bowiem jedynym województwem w Polsce, na którego obszarze nie ma ani jednego takiego szpitala. Przykładowo znacznie mniejsze od zachodniopomorskiego województwo lubuskie ma trzy takie szpitale. Fakt, że taka biała plama istnieje, jest tak dziwny, iż przed laty wizytator ds. wykonawczych Sądu Apelacyjnego w Poznaniu, któremu wówczas podlegał szczeciński okręg, rutynowo zlecił ówczesnemu przewodniczącemu szczecińskiego wydziału penitencjarnego wizytację szpitali psychiatrycznych, w których wykonuje się internacje. Bardzo się zdziwił, gdy otrzymał odpowiedź, że w województwie zachodniopomorskim nie ma czego wizytować.

Nieprawidłowość, jaką jest brak w województwie zachodniopomorskim choćby jednego odpowiedniego szpitala, widzi też Ministerstwo Zdrowia, które jest informowane o potrzebach okręgów sądowych naszego województwa – koszalińskiego i szczecińskiego – w tym zakresie. Przede wszystkim jednak widzą je prawnicy i psychiatrzy naszego województwa, którzy muszą zajmować się sprawami środków zabezpieczających. Niestety, jak dotychczas niewiele byli w stanie zrobić.

W Polsce zgodnie z art. 200 § 2 kkw istnieją według stopnia zabezpieczenia trzy rodzaje zakładów psychiatrycznych. Zakłady maksymalnego zabezpieczenia, nazywane Regionalnymi Ośrodkami Psychiatrii Sądowej, są trzy: w Starogardzie Gdańskim (woj. pomorskie), Gostyninie (mazowieckie) i Branicach (opolskie); posiadają one w sumie 209 miejsc tylko dla mężczyzn. Zakłady wzmocnionego zabezpieczenia, których jest dwanaście, posiadają 597 łóżek, w tym istnieje jeden oddział dla kobiet (w szpitalu psychiatrycznym w Gorzowie Wielkopolskim). Wreszcie zakładów podstawowego zabezpieczenia jest trzydzie-

ści dwa i mają one w sumie 637 miejsc dla mężczyzn i kobiet. Łącznie zakłady te mają 1.443 miejsca.

Z danych statystycznych wynika, że w Polsce w latach 1999-2005 nastąpił wzrost liczby wykonywanych internacji. W roku 1994 było ich 870, w roku 1999 – 825, ale już w roku 2002 – 1.100, a w roku 2005 aż 1.400. Taką tendencję wzrostową stwierdzono też w innych krajach, np. w Danii, gdzie w latach 1980-1989 liczba „pacjentów sądowych" (forensic patients) wzrastała o 6,2% rocznie, a w latach 2002-2004 aż o 11% rocznie. W USA, Danii i innych krajach stwierdza się też wzrost przestępczości chorych na schizofrenię. Jedną z przyczyn tego zjawiska jest deinstytucjonalizacja psychiatrii polegająca na zmniejszaniu liczby łóżek w szpitalach psychiatrycznych. W efekcie prowadzi to do prizonizacji chorych, którzy wypuszczani ze szpitali, pozbawieni opieki, przestają brać leki, często używają alkoholu i narkotyków, dokonują przestępstw i w końcu zamiast do szpitali trafiają do więzień.

Aktualnie środki zabezpieczające dla naszego województwa wykonywane powinny być:

- **w warunkach zabezpieczenia maksymalnego** – w Regionalnym Ośrodku Psychiatrii Sądowej w Starogardzie Gdańskim,

- **w warunkach zabezpieczenia wzmocnionego** – w Oddziale Psychiatrii Sądowej szpitala w Gorzowie Wielkopolskim (w praktyce z okręgu szczecińskiego) i w szpitalu psychiatrycznym w Starogardzie Gdańskim (z okręgu koszalińskiego i szczecińskiego),

- **w warunkach zabezpieczenia podstawowego** – w szpitalu psychiatrycznym w Międzyrzeczu; w rzeczywistości chorzy przebywają również w szpitalu w Starogardzie Gdańskim, który zgodnie ze stosownym rozporządzeniem nie jest właściwy terytorialnie.

Regionalne Ośrodki Psychiatrii Sądowej finansowane są w całości z budżetu Ministerstwa Zdrowia. Natomiast pozostałe Oddziały Psychiatrii Sądowej finansowane są przez Narodowy Fundusz Zdrowia podpisujący z nimi umowy dotyczące określonej liczby osób, które mogą być umieszczone w każdym roku w celu wykonywanie środka zabezpieczającego. Liczby te odbiegają znacznie od faktycznej liczby orzekanych środków zabezpieczających. Dlatego zakłady te, mimo posiadania wolnych łóżek, regularnie odmawiają przyjmowania osób na internację, ponieważ nie uzyskałyby od NFZ zwrotu pieniędzy za pobyt takiego chorego.

Owo zróżnicowanie sposobu finansowania szpitali niewątpliwie jest sytuacją niewłaściwą. Już z zasady wydaje się, że jeśli ktoś zostanie umieszczony w szpitalu nie wskutek decyzji lekarza, ale wyrokiem czy postanowieniem sądu jako osoba niebezpieczna dla porządku prawnego, która musi być – wprawdzie w warunkach szpitalnych – ale jednak pozbawiona wolności, to koszty wykonania takiego wyroku powinien ponosić Skarb Państwa, jak ponosi je w przypadku wykonywania kar czy środków karnych. Tak też generalnie jest w innych krajach. Obciążenie tym obowiązkiem NFZ jest zrzuceniem ciężaru finansowego wykonywania orzeczeń sądów karnych na fundusz powstający ze składek na ubezpieczenie zdrowotne, a więc powołany w zupełnie innym celu. W dodatku o tym, czy za pobyt chorego psychicznie zapłaci Ministerstwo Zdrowia (gdy zostanie on umieszczony w ROPS), czy NFZ (gdy w innym szpitalu), decyduje stan chorego i zagrożenie, jakie się z nim wiąże. W istocie obecnie – a zmian w tym zakresie dokonywano w kodeksie karnym wykonawczym od 1998 r. już kilkakrotnie – wiążąca dla sądu jest opinia Krajowej Komisji do spraw Środków Zabezpieczających przy Ministrze Zdrowia.

Przede wszystkim jednak efektem takiego systemu finansowania zakładów wykonujących środki zabezpieczające (a właściwie limitowania finansów), powszechnym zjawiskiem są wielomiesięczne oczekiwania na przyjęcie osoby chorej psychicznie na internację. Jest to oczywiście niewykonywaniem wyroku sądu. Jednak ani sąd, ani żadna inna instytucja z Ministerstwami Sprawiedliwości i Zdrowia włącznie, nie ma żadnych środków prawnych, aby wymóc na dyrekcji szpitala przyjęcie chorego. W efekcie osoba taka albo nadal przebywa w areszcie, co stoi w jawnej sprzeczności z prawami człowieka, albo pozostaje na wolności, stanowiąc zagrożenie dla otoczenia i siebie, podczas gdy prawomocnym orzeczeniem sądu stwierdzono możliwość ponownego popełnienia przez nią czynu zabronionego o znacznej społecznej szkodliwości i potrzebę jej izolacji (art. 94 § 1 kk).

Obecnie oczekiwanie na przyjęcie chorych umieszczonych przez sądy w szpitalach psychiatrycznych w Gorzowie Wielkopolskim i Międzyrzeczu trwa wiele miesięcy. Należy też pamiętać, że osoby osadzone początkowo w Regionalnych Ośrodkach Psychiatrii Sądowej (w warunkach maksymalnego zabezpieczenia) z zasady nie są z nich zwalniane, lecz najpierw przenosi się je – w miarę postępów terapii – do szpitali o niższym zabezpieczeniu. Tymczasem niejednokrotnie przebywają one w ROPS o wiele miesięcy dłużej, niż wymagałyby tego względy medyczne: wyłącznie z tego powodu, że szpitale o niższym stopniu zabezpieczenia udzielają tradycyjnych odpowiedzi o braku miejsc. Nie poprawiło sytuacji zniesienie kas chorych, chociaż trzeba zauważyć, że konieczność podpisywania przez szpitale województwa lubuskiego umów z dawną Zachodniopomorską Kasą Chorych powodowało dodatkowe komplikacje.

W okręgu szczecińskim obecnie przebywać powinno w szpitalach psychiatrycznych na mocy orzeczeń sądów 47 osób, które popełniły czyny zabronione. Tylko 31 z nich, a więc dwie trzecie, przebywa we właściwych szpitalach. Z braku miejsc 8 osób wcale nie przebywa w szpitalu, pozostając na wolności, a 8 przebywa w szpitalach o niewłaściwym stopniu zabezpieczenia lub niewłaściwych miejscowo.

Brak szpitala położonego w województwie zachodniopomorskim wywołuje też inne skutki. Internacja chorych wykonywana jest z dala od ich rodzin, od miejsc zamieszkania. Komunikacja publiczna między

Szczecinem czy Koszalinem a Starogardem Gdańskim bądź Międzyrzeczem pozostawia wiele do życzenia (niewiele lepiej jest z Gorzowem), a krewni chorych psychicznie popełniających czyny zabronione, jak wykazuje praktyka, rzadko kiedy mają własne samochody. Chorzy niejednokrotnie przez wiele miesięcy nie mają kontaktu z bliskimi. Lekarze psychiatrzy, którzy się nimi zajmują, wiedzą zbyt mało o ich rodzinach. Biorąc pod uwagę, że ze szpitali psychiatrycznych nie wolno udzielać żadnych przepustek (nie daje takiej możliwości kodeks karny wykonawczy), lekarzom trudno jest bez kontaktu z rodziną chorego przewidzieć, jak zachowa się on, gdy zostanie zwolniony ze szpitala. A takie prognozy lekarze muszą stawiać regularnie, bo przed każdą decyzją o utrzymaniu w mocy środka zabezpieczającego, zatem co najmniej co 6 miesięcy.

Dlatego z uznaniem należy przyjąć podjętą w dniu 8 czerwca br. uchwałę Rady Społecznej SPS ZOZ „Zdroje" o wybudowaniu Oddziału Psychiatrii Sądowej dla 60 osób składającego się z Oddziału Maksymalnego Zabezpieczenia na 10 miejsc, Oddziału Wzmocnionego Zabezpieczenia na 40 łóżek i Oddziału Obserwacji Sądowo-Psychiatrycznych na 10 miejsc. Zaspokoiłoby to przeważającą część potrzeb województwa. Dyrekcja szpitala w Szczecinie-Zdrojach planuje w tej sprawie wystąpić do Ministerstwa Zdrowia o ujęcie tej inwestycji w budżecie resortu, poprzez Urząd Marszałkowski, który jest organem założycielskim dla tego szpitala. Uzasadnienie tego projektu przedstawił Jerzy Pobocha jako członek Rady. Niewątpliwie projekt ten musi zyskać pełne poparcie również środowiska prawniczego, w szczególności jego „części karnej": prokuratorów, adwokatów i sędziów karnych.

Szpital w Szczecinie-Zdrojach dysponuje wolnym i w pełni uzbrojonym terenem do realizacji tej inwestycji. Wcześniej w szpitalu miała miejsce wizyta dr med. Ryszarda Wardeńskiego i dr med. Leszka Ciszewskiego – Dyrektorów Regionalnych Ośrodków Psychiatrii Sądowej w Gostyninie i Starogardzie Gdańskim, którzy w pełni poparli potrzebę budowy tego Oddziału, jak i zapewnili o przekazaniu pozytywnej opinii do Ministerstwa Zdrowia. W szczególności dotyczy to Regionalnego Ośrodka Psychiatrii Sądowej w Starogardzie Gdańskim, w którym osoby niewymagające przebywania w oddziale o tak wysokim stopniu zabezpieczenia, przebywają nadal z powodu braku miejsc w szpitalach psychiatrycznych w Gorzowie i Międzyrzeczu.

Miejmy więc nadzieję, że tak ważny dla psychiatrii sądowej ośrodek uzyska placówkę, której brak jest obecnie wyraźnie odczuwalny. Tylko kiedy? Jest to przecież inwestycja, której realizacja potrwa kilka lat. A w dodatku doświadczenie uczy, że wszelkie potrzeby naszego regionu są słabo dostrzegane z Warszawy. Bo przecież Szczecin to tak odległy kraniec Polski. Jakoś nie pomaga nam fakt, że za to mamy bliżej do Europy. [ ]

Asesorem być...

Zgodnie z zapisami art. 98 i 99 ustawy z dnia 20 czerwca 1985r. o Prokuraturze (tekst jednolity Dz.U.02.21.206) asesorów powszechnych jednostek organizacyjnych prokuratury mianuje i zwalnia Prokurator Generalny, a asesorów wojskowych jednostek organizacyjnych prokuratury - Naczelny Prokurator Wojskowy. Prokurator Generalny może powierzyć asesorowi powszechnej jednostki organizacyjnej prokuratury, a Naczelny Prokurator Wojskowy - asesorowi wojskowej jednostki organizacyjnej prokuratury na czas określony, nieprzekraczający trzech lat, pełnienie czynności prokuratorskich, jednakże bez prawa udziału w postępowaniu przed sądem apelacyjnym i okręgowym, sporządzania środków zaskarżania i wniosków do Sądu Najwyższego oraz występowania przed tym Sądem. Asesor prokuratury nieposiadający uprawnień do pełnienia czynności prokuratorskich może występować w charakterze oskarżyciela publicznego w sprawach w postępowaniu uproszczonym.

Kiedy z dniem 30 listopada 2005r. wciąż jeszcze oszołomieni egzaminem odbieraliśmy akty mianowania, nikt chyba tak naprawdę nie spodziewał się, że następnego dnia zaczniemy pracę. Powierzono nam pełnienie czynności prokuratorskich, co w praktyce oznaczało, iż odtąd odpowiadamy sami za każdą naszą decyzję, za każdy sukces, ale i za każdą porażkę, a zakres naszych zadań równa się – z małymi wyjątkami - zadaniom prokuratorów. Skończyły się „beztroskie" czasy aplikacji, kiedy pisane przez nas projekty aktów oskarżenia, postanowień o umorzeniu postępowania i innych decyzji procesowych poddawane były wnikliwej ocenie patronów. Chyba nigdy nie zapomnę swojego pierwszego aktu oskarżenia. Przed jego wysłaniem kilkunastokrotnie „przewertowałam" akta sprawy, każde zeznania, wyjaśnienia znałam niemalże na pamięć, a nie było tego wiele, zważywszy iż postępowanie toczyło się o czyn z art. 178a §1 k.k. Byłam wtedy i wciąż jestem pełna autentycznego podziwu dla prokuratorów działów do spraw przestępczości zorganizowanej, gdzie sprawy miewają po kilkanaście czy kilkadziesiąt tomów.

Następnie przyszło mi przejść pierwszy dyżur, który nie minął bez zgłoszeń, i trzeba było przeprowadzić oględziny miejsca ugodzenia nożem

(na szczęście bez ofiar śmiertelnych), zmierzyć się z pierwszą wokandą, gdzie stojąc naprzeciw doświadczonych adwokatów musiałam odczytać zarzuty, zadawać pytania, zająć stanowisko, wygłosić mowy końcowe. Gratulowałam sobie wtedy, że podczas aplikacji chodziłam z patronami do Sądu, brałam udział w konkursach krasomówczych, a i występowałam kilkakrotnie jako oskarżyciel publiczny w trybie uproszczonym. Później był pierwszy areszt, pierwszy świadek, podejrzany i tak z czasem wszystkie te osoby, czynności przestały być pierwsze. Teraz mogę powiedzieć „nie taki diabeł straszny" - zwłaszcza jeżeli trochę oswojony.

Dziś wraz z kolegami, z którymi odebraliśmy akty mianowania 30 listopada 2005 r., pracujemy już ponad pół roku. Już, choć raczej należałoby rzec dopiero, zważywszy, że zgodnie z zapisami ustawy w stan spoczynku prokurator przechodzi z dniem ukończenia 65 roku życia, a na swój wniosek po ukończeniu 55-ciu lat kobieta, jeżeli przepracowała na stanowisku prokuratora nie mniej niż 25 lat, a 60-ciu lat mężczyzna, jeżeli przepracował na stanowisku prokuratora nie mniej niż 30 lat. Zostało nam zatem jakieś 25-30 lat. Czas biegnie bardzo szybko. Część z nas niedługo przejdzie pierwszą kontrolę asesorską. Jak sobie radzimy – ocenią to inni. Z mojej strony mogę powiedzieć tyle, że coraz rzadziej zasypujemy się wzajemnie pytaniami, telefonami, coraz pewniej podejmujemy decyzje. Sprawa sprawie nierówna, a życie pisze takie historie, o których - jak rzekłby poeta - nie śniło się filozofom. Tym bardziej odpowiedzi na wiele pytań nie można znaleźć w kodeksach, książkach i komentarzach. Z każdym dniem uczymy się jednak z tym zmierzać. Na szczęście nie jesteśmy sami, możemy liczyć na pomoc bardziej doświadczonych kolegów, z których każdy pamięta czasy swojej asesury. Do tego nauka nie idzie w las, a podczas aplikacji i przygotowań do egzaminu prokuratorskiego z niezwykłym zapałem i wnikliwością zgłębialiśmy tajniki prawa i zawodu. Teraz nabytą wiedzę teoretyczną przyszło nam przełożyć na praktykę i nawiązując do słów Para-Grafa - „gramy dalej" ciesząc się, że eliminacje już za nami.

Asesor Prokuratury Rejonowej
Szczecin- Śródmieście
Dorota Korecka

OKRĘGOWA IZBA RADCÓW PRAWNYCH
W SZCZECINIE

Doroczne Zgromadzenie Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie

W dniu 22 czerwca 2006 r. odbyło się doroczne Zgromadzenie Delegatów Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie. Był to drugi termin zgromadzenia – w pierwszym terminie, w dniu 20 maja, zgromadzenie nie odbyło się z uwagi na brak quorum – przybyło o trzy osoby za mało, aby można było skutecznie obradować. Tym razem frekwencja była wyjątkowo wysoka – na 66 delegatów w zgromadzeniu uczestniczyło 50 osób.

Przedmiotem zgromadzenia było przedstawienie sprawozdań organów Izby, skwitowanie organów za okres sprawozdawczy (od maja 2005 do maja 2006), przyjęcie sprawozdania finansowego za ubiegły rok budżetowy i uchwalenie budżetu na rok bieżący. Ani sprawozdania, ani projekt budżetu nie wzbudziły wątpliwości delegatów i zostały przyjęte jednogłośnie.

Ożywioną dyskusję wywołał temat nowelizacji ustawy o radcach prawnych, zarówno tej dokonanej w lipcu ub. roku, jak i zapowiadanej obecnie. Szczególny sprzeciw wyrażano wobec pozbawienia naszego samorządu podstawowych, wynikających z Konstytucji, atrybutów samorządności, a mianowicie realnego wpływu na nabór na aplikację, egzamin radcowski oraz wpisy na listę radców prawnych, a także planów przekazania postępowania dyscyplinarnego sądom powszechnym.

Odpowiedzialność dyscyplinarną radca prawny ponosi za naruszenie zasad etyki tego zawodu i wydaje się oczywiste, że jedynie inni radcowie prawni mogą rzetelnie i kompetentnie ocenić, czy do naruszenia tych zasad doszło. Analogicznie jak w przypadku zawodu lekarza, gdzie jedynie inny lekarz może ocenić, czy postępowanie lekarza jest zgodne z zasadami etyki tego zawodu.

Przedmiotem postępowania przed sądami powszechnymi powinno pozostać orzekanie w sprawach zarzutów nieprzestrzegania przez członków naszej korporacji przepisów prawa karnego.

Wiele gorzkich słów padło pod adresem mediów, które chętnie publikują jedynie wypowiedzi krytyczne pod naszym adresem, włączając się w nośną społecznie i oczekiwaną politycznie falę dyskredytowania naszego samorządu. Podejmowane do tej pory próby zachęcenia różnych dziennikarzy do rzetelnego i uczciwego przedstawienia faktów w tej sprawie, zaprezentowania stanowiska naszego samorządu w poszczególnych, budzących kontrowersje kwestiach, okazały się bezowocne.

Wydaje się, że ani mediom ani organom władzy nie zależy dziś na ukazaniu prawdy o tych sprawach. Organy władzy ustawodawczej ani wykonawczej nie wykazują woli partnerskiej współpracy z organami samorządu w celu opracowania dobrego, nowoczesnego prawa regulującego kwestie związane z szeroko pojętą autonomią samorządu zawodowego, a równocześnie satysfakcjonującego rozwiązania kwestii dostępu do zawodu i nadzoru nad właściwym jego wykonywaniem.

Rozstaliśmy się w minorowych nastrojach, gdyż tak czarnych chmur nad naszym samorządem jeszcze nie było i nigdy do tej pory przyszłość nie była tak niepewna.

Opracowała Hanna Sokulska
– przewodnicząca Zgromadzenia

Budynki sądowe w Szczecinie 2006 roku

Beata Beim

W rankingu miast polskich pod względem rangi funkcjonujących w nim sądów Szczecin zakwalifikował się roku 2005 do grona jedenastu „przodujących". Stać się tak mogło w następstwie wieloletnich usilnych starań i karkołomnych wręcz zabiegów o powołanie w Szczecinie Sądu Apelacyjnego, czynionych zarówno przez gremia sędziów, palestrę oraz następujących po sobie licznych decydentów, zarówno miejscowych, jak całego regionu północno–zachodniej Polski. Obecnie można śmiało stwierdzić, iż pod względem „obłożenia" sądowego, posiadamy w Szczecinie już wszystko co było możliwe do uzyskania. Teraz w poszczególnych sądach nie może już dziać się inaczej jak tylko „szybciej i sprawniej" i być może nielubiane określenie: „zaszłość sądowa" straci dotychczasową rację bytu trafiając do lamusa, bo to i opasły, pękający dosłownie w szwach Sąd Rejonowy się rozbudowuje; przybywa mu pomieszczeń w nowo pozyskiwanych budynkach, z kolei i Sąd Okręgowy rozpycha się coraz to skuteczniej po całym Szczecinie, a już sam Sąd Apelacyjny posiadł był rezydencję jak się patrzy, przynależną takowemu sądowi, zajmując szykownie zaadaptowany obszerny gmach pokoszarowy położony na zachodnim skraju dzielnicy Pogodno przy ul. Mickiewicza 163. Budynek ten został wzniesiony w roku 1929 w dużym kompleksie koszarowym niemieckich wojsk zmotoryzowanych (Kraftfahrerkasserne). Po 1945r. stacjonował w nim 2 pułk artylerii lekkiej 7 Zmechanizowanej Dywizji. Po przejęciu tego gmachu przez Sąd Apelacyjny w lewym jego skrzydle znalazły się także pomieszczenia, do których w lipcu 2005r. przeniesiony został I Wydział Cywilny Sądu Okręgowego (z ul. Małopolskiej 17).

Powracając do umiejscowionego w tytule zagadnienia szczecińskich budynków sądowych zadziwiać może fakt, iż łącznie jest aż siedem, a nie trzy, jak dla zaistnienia słusznego porządku być powinno. Gdyby ten trend rozczłonkowywania poszczególnych sądów po Szczecinie miał się nadal zachować, to niebawem każda ważniejsza ulica będzie się mogła uważać za dowartościowaną faktem usytuowania przy niej budynku, który, jeśli nie jest siedzibą jednego z sądów, to przynajmniej któregoś z sądowych wydziałów. Już obecna topografia lokacyjna sądów bądź niektórych wydzielonych ich wydziałów sprawia zrozumiałe utrudnienie licznym petentom sądowym oraz zapewne niejednokrotnie spędza sen z oczu samej administracji sądowej, która, choćby chciała jak najlepiej, nie może częstokroć nadążyć z wzajemnym komunikowaniem się i przekazywaniem dokumentacji. Wielkim zatem pocieszeniem na drodze do zniwelowania niedogodności wynikających z nadmiernego rozrzucenia i oddalenia niektórych wydziałów mogą stać się czynione ostatnio starania o utworzenie w Szczecinie drugiego odrębnego Sądu Rejonowego.

Największy kompleks sądowy mieści się w gmachu przy ul. Kaszubskiej 42, który okalają ulice: Limanowskiego od strony południowej i Narutowicza od strony północnej. W tym budynku umieszczone są pospołu władze, administracja oraz część wydziałów Sądu Okręgowego i Sądu Rejonowego, a historia tego budynku oraz jego architektura została przedstawiona w ubiegłym roku na stronach lipcowo-sierpniowej edycji niniejszego czasopisma (In Gremio 7/8/2005). Gwoli przypomnienia, wiadomym jest, że ów gmach wybudowany został w roku 1882 w kompleksie nowo powstającej dzielnicy – Nowe Miasto, z przeznaczeniem właśnie na siedzibę Sądu Obwodowego (Amtsgericht) i w tym charakterze funkcjonował do 1945r. Kiedy dzisiaj stojące wokół niego rusztowania zwiastują oczekiwane od lat prace oczyszczające elewację tego budynku, to można powiedzieć. że spełniło się przesłanie zmieszczone w ostatnich strofach ubiegłorocznego artykułu zawarte w słowach: „Na dzień dzisiejszy należałoby tylko życzyć jego administratorom, aby ich starania (...) w końcu się ziściły, tak, by już może za rok, można było podziwiać jego (czyt.: budynku) niewątpliwą urodę architektoniczną w całej krasie i okazałości". Kolorem bowiem dominującym na elewacjach tego gmachu okaże się znowu - jak przed laty – kolor żółty.

W bezpośrednim sąsiedztwie tego budynku frontem do ulicy Narutowicza pod numerem 19 - z wielkim dostojeństwem emanującym z jego surowej ceglanej bryły - stoi ponure gmaszysko sądowe. Owa „ponurowatość" zdecydowanie musi napawać niepokojem wszystkich potencjalnych petentów udających się do jego wnętrza. Zapewne już na samo „dzień dobry" owi petenci nabierają pokory, bo osądza się w nim w większości wydziałów arcysubtelne w swojej naturze sprawy rodzinne oraz tyczące dziatek, a także m.in. ważkie sprawy gospodarcze. Na najwyższym poziomie rezydują Zespoły Kuratorskiej Służby Sądowej. Owy budynek stanowił element XIX wiecznego kompleksu koszarowego. Na poczatku 1845r. król pruski Fryderyk Wilhelm IV wyraził zgodę na zabudowę terenów pomiędzy dworcem kolejowym, Fortem Prusy a nabrzeżem odrzańskim; jednocześnie zaak-

Na sąsiedniej stronie: u góry budynek sądu przy ul. Kaszubskiej, na dole budynek sądu przy ul. Narutowicza

ceptował projekt powstania na tych terenach m.in. dzielnicy Nowe Miasto. Następnego roku wytyczono obszar przeznaczony na koszary artyleryjskie, na którym początkowo wzniesiono zabudowania drewniane, aby w kolejnym dziesięcioleciu wybudować tam koszary murowane. W 1863r. wzniesiono opisywany budynek sądowy, zamykający obszar koszar od strony ul. Narutowicza (Friedrichstrasse). Budynek powstał na kamiennych fundamentach z czerwonej cegły - nietynkowany. Został wzniesiony w stylu eklektycznym z połączenia elementów neoromańskich i neorenesansowwch. Zwarta, trójkondygnacyjna bryła budynku posiada szczególnie rzucające się w oczy wieloboczne filary w formie wieżyczek stanowiących jego pionową dominantę. Budowla ta spełniała funkcje budynku kwatermistrzowskiego (Okonomiegebaude) – znajdowała się w nim stołówka oraz bufet. W całym kompleksie koszarowym stacjonował Pomorski Regiment Artylerii Polowej nr 2 (Pomersche Feldartyllerie – Regiments nr 2) oraz także od roku 1899 Regiment Artylerii Polowej nr 38 Pomorza Przedniego (Vorpommersche Feldartilerii – Regiments nr 38). Po roku 1945 ten kompleks koszarowy został przejęty przez Milicję Obywatelską, a budynek przy ul. Narutowicza pełnił częściowo funkcję koszar dla ZOMO (Zmotoryzowany Oddział Milicji Obywatelskiej), zaś w pozostałej części znajdowała się stołówka oraz bufet. W roku 1992 obiekt ten został przekazany Ministerstwu Sprawiedliwości, które po przeprowadzeniu w nim generalnego remontu udostępniło go w marcu 1995r. Sądowi Rejonowemu w Szczecinie.

Kilka kilometrów w linii prostej od opisywanego powyżej kompleksu sądowego Nowego Miasta – w dzielnicy Łękno, przy ulicy Królowej Korony Polskiej 31, w pięknym stylizowanej wilii – rezydencji, znalazł w roku 2001r. swoją siedzibę Wydział Rejestrowy Sądu Rejonowego w Szczecinie. Pozazdrościć lokalizacji owemu wydziałowi należy koniecznie i samej bryły budynku, i w szczególności jego lokalizacji przy jednej ze starszych i najbardziej efektownych ulic XIX-wiecznego Szczecina - willowego osiedla – Łękna (Westend'u). Ulica Królowej Korony Polskiej w czasach niemieckich nazwana –Werderstrase (nazwa odnosi się do gen. Augusta von Werdera). Ulica ta powstała w roku 1871 na terenach zawiadywanych przez „Towarzystwo Westend", którego jednym z głównych udziałowców był szczeciński przedsiębiorca i znany filantrop – Johannes Heinrich Ouistrop.

Towarzystwo nabyło tereny b. majątku Friedrichshof., który położony był w II strefie twierdzy – Fortu – Wilhelma, czyli na przedpolu tegoż fortu. Zabudowa na tych terenach realizowana na przełomie wieków XIX i XX stała się wówczas zaczątkiem nowej ekskluzywnej dzielnicy miasta, której charakter został utrzymany przez kolejne dziesięciolecia i przesądził o sposobie urbanizacji tego terenu. Interesujący nas obecny budynek Wydziału Rejestrowego został zbudowany w czerwcu 1924r. dla przemysłowca Maxa Bellinga, właściciela fabryki papieru i papy. Miał on pełnić funkcję budynku mieszkalnego, równocześnie był przeznaczony na siedzibę administracji tej fabryki. Po 1945 r. budynek ten spełniał funkcje budynku mieszkalnego, aby następnie stać się siedzibą Konsulatu Republiki Federalnej Niemiec, zaś od 1 stycznia2001r. stał się budynkiem sądowym.

Z początkiem lat dziewięćdziesiątych ub. wieku Sąd Wojewódzki w Szczecinie dosłownie pękał w szwach, co wymusiło podjęcie decyzji o znalezieniu dodatkowego lokum. W połowie lat dziewięćdziesiątych pozyskano w tym celu gmach położony przy ul. Małoposkiej 17. Budynek ten został wzniesiony w 1932r. przy ówczesnej Augustastrasse 17 z przeznaczeniem na siedzibę Pomorskiej Poczty Państwowej oraz drukarni. Od 1939r. zajmował go w całości „Niemiecki Front Pracy" (Deutsche Arbeits Front). Po wojnie budynek gościł naraz aż trzech współlokatorów, a mianowicie: Urząd Pocztowy i Telekomunikacyjny, Zakład Ubezpieczeń Społecznych oraz Związki Zawodowe; od 4marca 1990 – do 1994r. - Niezależny Samorządny Związek Zawodowy – „Solidarność – 80". Od roku 1995 w budynku funkcjonowały wydziały Sądu Okręgowego: I Wydział Cywilny (do czerwca 2005r.), II Wydział Cywilny Odwoławczy, VI Wydział Pracy, VII Wydział Ubezpieczeń Społecznych, VIII Wydział Gospodarczy. Jednocześnie znajdował się w tym budynku Oddział Zamiejscowy Naczelnego Sądu Administracyjnego (obecnie: Wojewódzki Sąd Administracyjny) w Szczecinie -do 2004r., kiedy to przeniesiony został na ul Staromłyńską).

Pozyskanie wyżej przedstawionego obszernego budynku zaledwie na kilka lat poprawiło sytuację lokalową szczecińskiego sądownictwa. Kolejna przeprowadzka nastąpiła na początku roku 2000 do prawego skrzydła budynku usytuowanego przy pl. Żołnierza 16., którego głównym lokatorem jest obecnie Bank PEKAO S.A. (w latach 1989 –1999 –II Oddział Pomorskiego Banku Kredytowego S.A.). Ten imponujący rozmiarami gmach zajmujący prawie całą północną stronę placu został wybudowany w 1935 r. z przeznaczeniem na siedzibę Państwowej Kasy Oszczędności w Szczecinie (Staatisce Sparkasse zu Stettin). Został on wybudowany w miejscu, na którym pierwotnie stał pomnik cesarza niemieckiego Wilhelma I (1797 – 1888), przeniesiony w związku z powyższą budową na zachodnią stronę tego samego placu (w 1950 r. na jego cokole postawiony został Pomnik Wdzięczności dla Armii

Od góry: budynek sądu przy ul. Królowej Korony Polskiej, Placu Żołnierza, ul. Limanowskiego

Radzieckiej upamiętniający wyzwolenie Szczecina). Budynek ten zaprojektował architekt Gustaw Gaus w stylu funkcjonalnym. W świadomości szczecinian średniego i starszego pokolenia budynek ten kojarzony jest także jako siedziba KW PZPR (Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Podczas rewolty robotniczej na Wybrzeżu w grudniu 1970r.gmach ten został spalony; odrestaurowano go wkrótce nie zmieniając jednak żadnych elementów frontowej elewacji. W poszukiwaniu lokum na mający powstać nowy, odrębny Sąd Rejonowy w Szczecinie, być może brane jest także pod rozwagę jego umiejscowienie w tym właśnie gmachu, bądź w innym o podobnych parametrach oraz wyglądzie.

W międzyczasie jednak problem lokalowy szczecińskiego sądownictwa domagał się rozwiązania, chociażby doraźnego. Stało się to możliwe po przejęciu od PKP (Polskiej Kolei Państwowej) budynku b. bursy usytuowanego na rogu ulic: Limanowskiego (Artilleriestrasse) i 3-go Maja (Lindensrtrasse). Po przeprowadzeniu w nim dużych prac remontowo-adaptacyjnych, udostępniono go wiosną 2004r. wydziałom Sądu Rejonowego. Dom ten jest najstarszym spośród wszystkich budynków sądowych Szczecina, bezpośrednio przylega on południowym skrzydłem do gmachu sądowego przy ul. Kaszubskiej 42. Wejście do niego jest od ul. Limanowskiego nr 1. Budynek ten wzniesiono jako jeden z pierwszych w powstającej od połowy XIX w. dzielnicy Nowe Miasto - w roku 1856 i stanowił on własność kupca Herna Kirscha. Dom ten często zmieniał właścicieli: - w roku 1904 został nim Juliusz Sohms, od 1911r. - Gustawa Severt (przebudował go na restaurację i hotel). Od roku 1938 budynek ten był w posiadaniu Dyrekcji Kolei Niemieckiej w Szczecinie. W latach powojennych przejęty został prze PKP i służył do 2002r. jako bursa uczniom Technikum Kolejowego. Jego świeża, jaśniejąca - kanarkowa i pastelowa elewacja - zapewne usilnie przyciąga wzrok wszystkich osób przybyłych koleją do Szczecina, którzy opuszczając dworzec PKP „wyjściem górnym" zmierzają ul. 3-go Maja w kierunku centrum. Rzucająca się w oczy szczególna jaskrawość tego budynku zapewne powoduje, iż trudno go sobie od razu skojarzyć z „poważnym" budynkiem sądowym. Już niebawem jego jaskrawa elewacja nie będzie osamotniona, gdyż właśnie - w momencie oddawania do druku niniejszego artykułu – przystępuje się do prac mających odsłonić żółtą elewację sąsiedniego budynku sądowego. Pozostaje tylko powinszować takiego biegu spraw w tematach estetyzujących wygląd szczecińskich budynków sądowych.

Dziękuję Pani dr. Bogdanie Koźmińskiej z Wojewódzkiego Biura Konserwacji zabytków oraz Panu dr. Michałowi Opekowskiemu z Miejskiego Biura Konserwacji Zabytków w Szczecinie za okazaną mi pomoc i życzliwość podczas opracowywania niniejszego artykułu. [ ]

Zdjęcia wykonała Beata Beim.

Góry były dokoła mnie przez całe moje życie. Z różnej odległości i z różnym natężeniem. Zaczęło się to w Żywcu, gdzie się urodziłem. Potem kilka pierwszych lat dzieciństwa w niewielkiej miejscowości na Dolnym Śląsku – we Lwówku Śląskim ze wspaniałymi skałami, skarbami Kotliny Jeleniogórskiej i pięknymi Karkonoszami na wyciągnięcie ręki. Odległość ta jednak znacznie wzrosła po znalezieniu się w Szczecinie, gdzie mieszkam nieprzerwanie już od 26 lat.

Tęsknota do gór, turni i wysoko zawieszonych perci, ośnieżonych skalnych iglic mocno gdzieś we mnie cały czas drzemała. Na lekcjach plastyki, gdy tematem malunku był temat dowolny, każdy mógł obstawić zakład, że mały Kryński narysuje czy namaluje znowu po raz enty góry i zdecydowanie byłby to pewniejszy zakład niż to, że biało-czerwoni wyjdą z grupy.

Zejść ze szlaku

Potem lata wędrówek, ukochanie Tatr, czy to zimą, czy to latem – lecz prawie zawsze góry były jednak nie tak blisko. Nawet idąc najbardziej wymagającymi szlakami, omijałem piękne ściany pnące się płaszczyznami pociętymi rysami aż do samego szczytu. Zawsze drażnił widok gigantów tatrzańskich niedotkniętych (moją) stopą czy dłonią.

Wtedy padł pomysł, by zacząć się wspinać, by móc zejść ze szlaku i pójść pod ścianę. By móc potem, pijąc zasłużone piwo czy grzańca na ganku starego schroniska w Morskim Oku, powiedzieć: „Tam byłem!" i wskazać na pnące się wysoko Mięguszowieckie szczyty...

Zanim jednak pójdzie się w ostry ogień długich wspinaczek czy trudnych szlaków tatrzańskich, ważne jest, by nauczyć się podstaw wspinania, tego, jak się asekurować, jak poruszać w skale, jak osadzać punkty, które zabezpieczą ewentualny upadek. To wszystko mógł dać jedynie dobrze przeprowadzony kurs wspinaczki skalnej, który - aby spełnić swoją rolę - musi trwać przynajmniej sześć dni.

Pierwszymi słowami, jakimi przywitał nas, kursantów, nasz instruktor Przemek Ballada było stwierdzenie, że kursami wspinaczkowymi rządzą trzy niezmienne prawa: po pierwsze - kursant chce się zabić; po drugie - kursant chce zabić swego partnera, z którym się wspina; po trzecie - kursant chce zabić instruktora. Wszyscy potraktowaliśmy to jako dobry żart, ale cień niepokoju pozostał. Ten cień wzrósł nie-

pomiernie, gdy zobaczyliśmy ścianę, pod którą zostaliśmy przyprowadzeni. Plątanina głazów i szczelin, po której człowiek nie jest stanie przejść – przecież te krawądki to za mało, by na nich stanąć, te rysy to za mało, by się ich złapać...

Cala zabawa polega na tym, że trzeba być po prostu uważnym i dokładnym przy zabezpieczaniu siebie. Choć to ostatnie okazało się czasem bardzo trudne. Ilość węzłów i kombinacji z linami jest nie mniejsza niż w przypadku żeglarstwa – i dlatego też osobom, które śpiewały o „sznurkach od tych szmat" w trakcie żeglowania po Zalewie Szczecińskim, jest zdecydowanie łatwiej nauczyć się całej magii szybkiego wiązania się liną. Ale na sam początek nie ma tych węzłów tak wiele, także każdy bez jakichkolwiek problemów sobie poradzi pod czujnym okiem fachowca.

kursu – czyli za jakieś 5 dni od dnia zadania pytania i tajemniczego uśmiechu Przemka, muszę powiedzieć, że tego samego dnia droga ta stanęła przed nami otworem i została przez wszystkich kursantów zgrabnie poprowadzona. Wszystko byłoby fajnie i godne chwalenia się wszem i wobec gdyby nie nazwa ściany, na której się wspinaliśmy. Otóż musielibyśmy się chwalić, że pokonaliśmy drogę na Wszawych Ryskach. Po usłyszeniu tej nazwy nasz entuzjazm i poczucie tryumfu lekko przygasło i tak trwało dopóki nie zostało pocieszone paroma łykami piwa i kęsem kiełbasy z ogniska.

W życiu wspinacza jedną z największych przyjemności jest.... (tutaj czas do namysłu, po którym mógłbym się założyć, iż czytelnikowi przyszły do głowy takie myśli, jak zdobycie szczytu, wspięcie się na

i pójść pod ścianę...

„Czy my tam się będziemy dziś wspinać?"

Po kilku dniach okazało się, że ta granica niemożliwości, nawet dla osób, które ze wspinaniem się nie miały nic wspólnego, jest dużo, dużo dalej. Drugiego dnia kursu znaleźliśmy się pod absolutnie pionową ścianą, z odstającymi od ściany okapami (są to formacje skalne, które nadwieszają się nad ścianą). Na widok tej ściany któryś z nas stwierdził, że pewnie na koniec kursu poprowadzimy tę drogę, a instruktor Przemek tylko uśmiechnął się tajemniczo...

Aby wyjaśnić, czym jest poprowadzenie drogi, należy omówić dwa rodzaje wspinania się – jeden z nich nazywany jest wspinaniem się na wędkę, kiedy wspinający jest asekurowany liną zwieszającą się z jakiegoś punktu nad nim, zatem gdyby zdarzyło się, że odpadnie, to praktycznie zawisa od razu w powietrzu przy miejscu, w którym coś mu się nie powiodło. Drugim zaś sposobem jest wspinanie się z dolną asekuracją – polega to na tym, że wspinający się ciągnie za sobą linę i wpina ją do punktów asekuracyjnych podczas wspinania. Przy tym sposobie ryzyko lotu jest dużo większe niż przy wspinaniu „na wędkę", ponieważ lot jest w przybliżeniu dwukrotnie dłuższy od odległości wspinacza od ostatniego punktu asekuracyjnego. W języku wspinaczy właśnie przejście drogi z dolną asekuracją nosi miano poprowadzenia drogi.

Wracając do pytania zadanego instruktorowi odnośnie poprowadzenia strasznej drogi na sam koniec

reklama

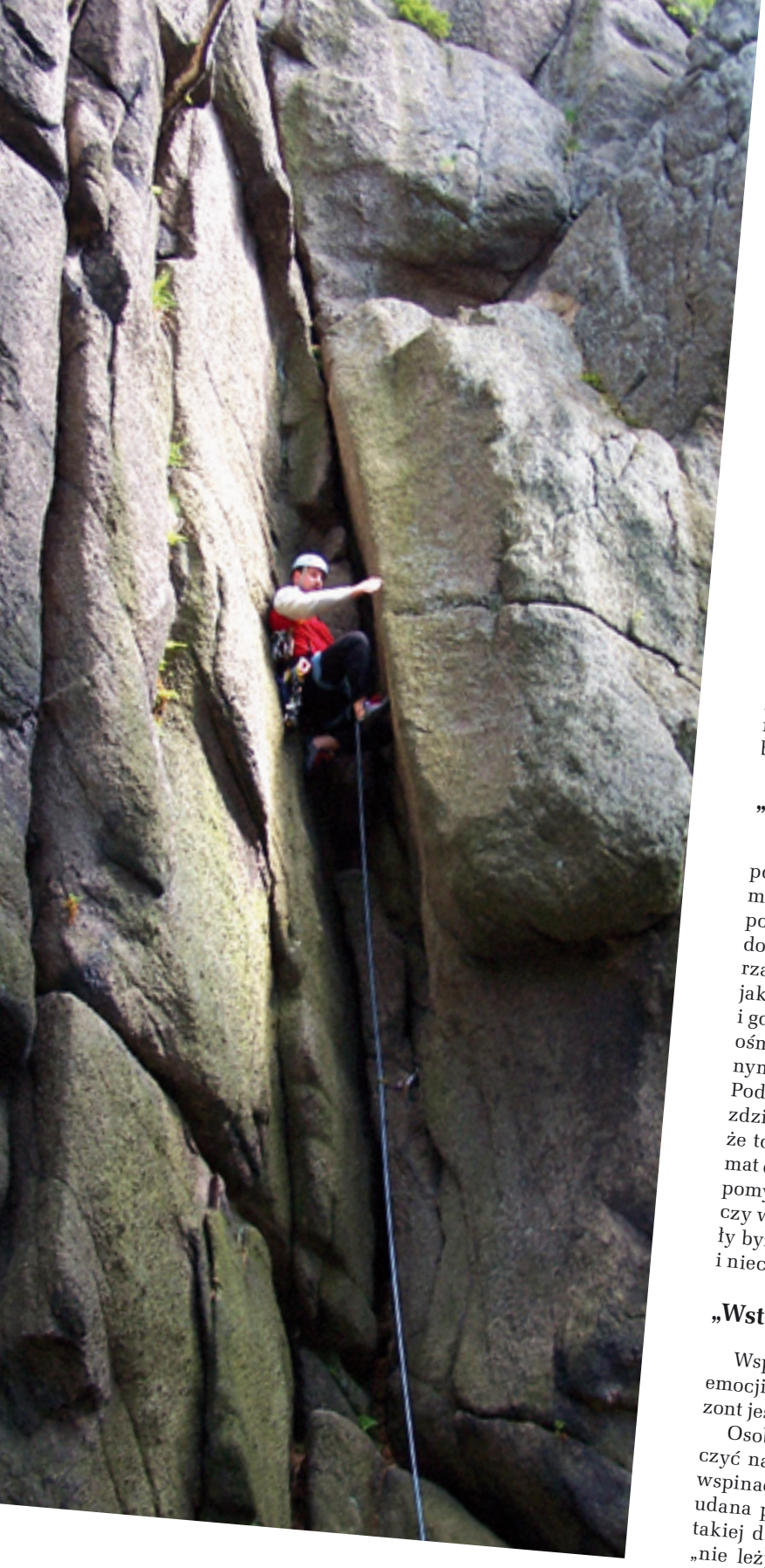

jakąś trudną ścianę czy tym podobne) zdjęcie butów wspinaczkowych. Pod skałami, czy nawet na sztucznej ściance, nie raz słychać pełne przyjemności westchnięcie ulgi po zsunięciu buta wspinaczkowego. Jest to but o specyficznej budowie, na którego widok moją pierwsza myślą było, że to są po prostu baletki. I tak już zostało – na swoje buty wspinaczkowe mówię baletki... bo są ciasne, krępują stopę, nadają jej trochę nienaturalny kształt i na pewno nigdy, przenigdy nie są wygodne.

„Telegraf"

Nie jest tematem genialny wynalazek XIX wieku, umożliwiający szybkie przekazywanie informacji, lecz komentarz, jaki często pada pod ścianą na widok zmęczonego wspinacza, któremu nagle zaczynają drgać nogi w sposób jako żywo przypominający nadawanie komunikatów alfabetem Morse'a, który brzmi „O, telegraf". Drżączka kończyn wygląda zabawnie, gdy ją się obserwuje, lecz jest niezmiernie przykrym doświadczeniem, gdy już przytrafi się wspinającemu osobiście, albowiem w 99 przypadkach na 100 telegraf kończy się odpadnięciem od ściany... A przecież nie po to się wspinamy, by odpadać (może z wyjątkiem bungie jumping).

„Jaro – lina się przeciera"

Po długim wspinaniu musieliśmy zjechać na linie ponad dwadzieścia metrów, tak w swobodnym tłumaczeniu jakieś siedem czy osiem pięter. Zjazd taki polega na tym, że przewleka się przez jakiś punkt zjazdowy linę, obciąża się ją i na niej przy pomocy przyrządu zjazdowego się zjeżdża... Zrobiłem wszystko jak należy, wpiąłem się do liny i rozpocząłem zjazd, i gdy całym ciężarem obciążyłem linę i zawisłem nad ośmiopiętrową przestrzenią, kolega do mnie spokojnym słowem powiedział: „Jaro, lina Ci się przeciera..." Podobno moje oczy były wielkie i pełne potężnego zdziwienia, pomimo tego, że już wtedy wiedziałem, że to, mocno eufemizując, figiel jedynie... Kolejny temat do żartów przy ognisku. Do jednych z nich należy pomysł, by zakazać cytowania ostatnich słów wspinaczy w przypadku odpadnięcia od ściany .... bo z reguły byłyby to słowa powszechnie uznane za obelżywe i niecenzuralne.

„Wstępna wymiana uprzejmości"

Wspinanie wyzwala w człowieku bardzo wiele emocji, które na co dzień, w świecie, w którym horyzont jest płaski, są gdzieś głęboko ukryte.

Osoby na co dzień spokojne i ciche potrafią zaskoczyć nagłym wybuchem emocji w obliczu problemu wspinaczkowego. Jakieś niepowodzenie, kolejna nieudana próba przejścia trudnego odcinka ściany lub takiej drogi, która zawsze „puszczała" a dziś akurat „nie leży". Wtedy często winnym tego, że nam nie

wychodzi, staje się partner asekurujący nas – bo za wolno wydawał linę i ona przy jakimś szybkim ruchu zadziałała jak hamulec, i już lecimy; bo za dużo luźnej liny podał i zbyt nisko się znaleźliśmy. I wtedy nadchodzi czas na „wstępną wymianę uprzejmości" pomiędzy partnerami, o której każdy, kto zna ten mechanizm, zapomina w tym samym momencie, gdy tylko dosięgną go słowa, zazwyczaj raniące i powodujące mnóstwo niesnasek.

Osoby, które znamy z tego, że są przebojowe i żadna przeszkoda nie jest im groźna, potrafią stać skamieniałe przed zdaniem się na łaskę i niełaskę liny w kilkudziesięciometrowym zjeździe czy w trakcie prowadzenia drogi w ścianie. Widać wówczas w ich oczach walkę z nagłą słabością, widać zaskoczenie: „Jak to, przecież ja nie mam słabych punktów....." I w końcu widać tryumf i poczucie zwycięstwa, gdy pokonają swą słabość lub po prostu chwilę zadumy nad tym, że czasem ulegamy.

Znamienne jest to, że wspinacz pokonujący problem dla niego graniczny osiąga skupienie porównywalne czasem ze stanem medytacji. Liczy się tu i teraz, wszelkie problemy całego świata sprowadzają się do tego, by odnaleźć kolejny dobry stopień pod palce stóp, by odnaleźć kolejny chwyt na dłoń. Wszystko inne się nie liczy. Ten wertykalny świat rządzi się bardzo prostymi regułami, nie ma w nich miejsca na wykładnię lub odcienie szarości i „falandyzacje" – albo wybierze się dobrze i idzie się dalej, albo błąd powoduje odpadnięcie od ściany.

Wspinanie jest sportem, który daje niesamowitą możliwość kontaktu z przyrodą – z reguły naturalne miejsca do wspinania są położone w bardzo ciekawych miejscach widokowych. W Szczecinie jest takim miejscem nasza poczciwa (i wciąż niezagospodarowana) Wieża Bismarcka, ze ścianami pokrytymi przygotowanymi drogami wspinaczkowymi, po których przejściu można napawać się pięknym widokiem na rozlewiska Odry, jezioro Dąbie czy też odległe wzgórza Puszczy Bukowej. I to też jest nagrodą dla wspinacza, oprócz samej możliwości pokonania swej słabości i strachu - ta chwila na szczycie, na półce skalnej czy na głazie, ze światem leżącym u jego stóp....

Jarosław Kryński, adwokat

Szkoła Prawnicza Ministerstwa Sprawiedliwości w Szczecinie

W sierpniu br. mija 55 lat od chwili, gdy pierwsi absolwenci opuścili mury Szkoły Prawniczej w Szczecinie. Zapewne mało kto dzisiaj wie i pamięta, że w grodzie Gryfa funkcjonowała placówka oświatowa, która w przyspieszonym tempie przygotowywała kadry dla wymiaru sprawiedliwości.

Powstanie Polski Ludowej oraz nowa treść społeczno-polityczna wymagała, aby kadra prokuratorsko-sędziowska składała się z ludzi oddanych interesom społeczeństwa budującego nowy ustrój społeczny, by pracowała przy pomocy nowych metod.

Dla wykonania tego „dzieła" przystąpiono do kształcenia – w zakresie niezbędnym wiadomości prawniczych i ogólnych – ludzi, których więzy ideowe gwarantowały spełnienie stawianych przez państwo ludowe wymogów.

Stąd wzięła się koncepcja powołania średnich szkół prawniczych, do których werbowano młodzież robotniczo-chłopską, przyszłych sędziów i prokuratorów, głównie członków partii robotniczej lub postępowych organizacji młodzieżowych. Również w Szczecinie rosły kadry na potrzeby wymiaru sprawiedliwości. Początek temu dał dzień 3 czerwca 1950 r., kiedy to (była to sobota, w godzinach wieczornych) w obecności przedstawicieli partii politycznych oraz palestry odbyło się otwarcie pierwszego roku studiów Szkoły Prawniczej, zorganizowanej przez Ministerstwo Sprawiedliwości, w odbudowanym trzypiętrowym gmachu na Osiedlu Studenckim, przy ul. Ku Słońcu 31/33.

Uroczystego otwarcia placówki dokonał minister sprawiedliwości prof. Henryk Świątkowski i wygłosił wykład inauguracyjny.

Stefan Sawicki, w imieniu słuchaczy nowootwartej Szkoły, zapewnił ministra, że szczecińska młodzież nie zawiedzie pokładanych w niej nadziei. Oddając się całkowicie nauce i pracy słuchacze dumni są, że otwarta została dla nich droga awansu społecznego. Uroczystość oczywiście zakończono gremialnym śpiewaniem Międzynarodówki.

Przewidziano, że w szkole będzie się kształciło około 240 młodych słuchaczek i słuchaczy, zdobywając wiedzę prawniczą i świadomość ideologiczną, potrzebne przyszłym sędziom i prokuratorom. Kandydaci rekrutowali się z terenu całej Polski i pochodzili w 98% ze sfer robotniczo – chłopskich, z zakładów pracy, fabryk, rolniczych spółdzielni produkcyjnych i spośród działaczy społecznych.

Na początek na naukę zawodów prawniczych, głównie sędziów i prokuratorów, zgłosiły się 182 osoby, w tym 41 kobiet. Pod względem pochodzenia społecznego: 132 słuchaczy pochodziło z klasy robotniczej, 37 - miało pochodzenie chłopskie, 10 - wywodziło się z inteligencji pracującej, a 3 było dziećmi rzemieślników. Z kolei pod względem przynależności społecznej: robotników było 97, chłopów 7, a przedstawicieli inteligencji pracującej - 78 osób.

Pod względem wieku: do 23 lat było 51 osób, do 25 lat – 42, do lat 30 – 70 i powyżej 30 lat – 19 uczniów. Pod względem wykształcenia: z tzw. dużą maturą było 6 osób, z tzw. małą maturą – 20, z 7 klasami szkoły powszechnej i więcej – 137, a poniżej 7 klas szkoły powszechnej - 19. Pod względem przynależności partyjnej: do PZPR należały 143 osoby, do ZSL – 4, bezpartyjnych było 9 uczniów, a 26 słuchaczy należało do ZMP.

Pierwszym dyrektorem szkoły został sędzia Mieczysław Glazer. Wykładowcami byli profesorowie szczecińskich szkół ogólnokształcących, pracownicy partyjni, natomiast sędziowie i prokuratorzy zostali zatrudnieni w charakterze asystentów.

Z zaciekawieniem przywołuję nazwiska sędziów i prokuratorów, którzy byli związani ze Szkołą Prawniczą w charakterze asystentów. W pierwszej z tych grup znaleźli się:

Stefan Idzior, Włodzimierz Sawwa, Jan Płochocki, Halina Parys-Makowska, Aleksander Koliński, Stanisław Lachowicz. Natomiast w drugiej: Tadeusz Ostrowski, Bolesław Łojko, Zbigniew Szniako, Feliks Prumbs, Alewtyna Kiedrowska, Teodor Marski.

Rok szkolny trwał nietypowo, bo bez wakacji. Faktycznie był to 14 miesięczny turnus, a młodzież realizowała słowa tow. Stalina widniejące na transparencie zamieszczonym przy wejściu do szkoły:

„Przed nami twierdza. Tą twierdzą jest nauka – musimy ją zdobyć".

W stalinowski styl tejże szkoły wpisuje się taka oto historia. W czasie trwania roku szkolnego Podstawowa Organizacja Partyjna wydała w stosunku do dyrektora szkoły - Mieczysława Glazera, ujemną opinię pod względem ideologicznym. W związku z tym dyrektor został odwołany. Nowym dyrektorem i jego zastępcą zostali sędziowie: Zygmunt Ulman i Tadeusz Goździcki.

W czasie trwania nauki – słuchacze stwierdzili, że mają doskonałych wykładowców, którzy żyją z nimi na stopie koleżeńskiej i wykładają tak dostępnie, że wszystkie przedmioty są dla nich jasne i zrozumiałe. Najlepiej lubią seminaria i konsultacje z przedmiotów prawniczych, które prowadzą sędziowie i prokuratorzy.

Gdy zbliżał się koniec roku szkolnego, Minister Sprawiedliwości powołał Komisję Egzaminacyjną do przeprowadzenia egzaminów końcowych, które odbyły się w dniach od 13 do 18 sierpnia 1951 r. Komisja w efekcie ustaliła, że z ogólnym wynikiem bar-

Od lewej u góry: Lachowicz – sędzia, Płochocki – sędzia, Kasperski – sędzia, Koliński – sędzia, Goździcki – wicedyrektor, Ulman - dyrektor, Marski – prokurator, Sawwa – sędzia, Kiedrowska – prokurator, Szewczyk – sędzia.

dzo dobrym ukończyło naukę 18 słuchaczy, tj. 8,3%. Z wynikiem dobrym 50 uczniów, tj. 29,8%, z wynikiem dostatecznym 79 osób, tj. 60,5%. Natomiast noty niedostateczne otrzymało zaledwie 2 słuchaczy, tj. 1,4%. Dwóch innych nie klasyfikowano, kierując ich do innych szkół prawniczych.

Na uroczystość zakończenia I turnusu Szkoły Prawniczej, która odbyła się w niedzielę 19 sierpnia 1951 r., przybyli: wiceminister sprawiedliwości Tadeusz Rek, kier. Wydziału Administracyjnego KW PZPR w Szczecinie – S. Olpiński i inni. Uroczyste zebranie zagaił dyrektor szkoły Zygmunt Ulman, który scharakteryzował całokształt ponad rocznej działalności szkoły na przestrzeni od czerwca 1950 roku do sierpnia 1951 r.

Następnie wiceminister sprawiedliwości Tadeusz Rek wskazał zadania stojące przed absolwentami szkół prawniczych, jako pracownikami ludowego wymiaru sprawiedliwości. Podkreślił też, że Szczecińska Szkoła Prawnicza wnosi do sądownictwa nie tylko zmiany ilościowe, ale przede wszystkim jakościowe, zasilając go „elementem" robotniczo-chłopskim. Przedstawiciel KW PZPR – S. Olpiński życzył wychowankom owocnych wyników pracy na nowych stanowiskach. Godzi się w tym miejscy przypomnieć, że w Polsce Ludowej przy różnych okazjach typowano w zakładach pracy – przodowników pracy. Tak też było i w szkolnictwie. Tak też było na omawianej uroczystości w Szczecinie. Komisja wytypowała jako przodowników pracy i nauki: Nadzieję Bałę, Stanisława Okuszkę i Tadeusza Staniszewskiego.

W imieniu absolwentów zabrał głos Alfred Popiołek, który *„w pełnych wzruszenia słowach przekazał serdeczne podziękowanie Partii, Rządowi i klasie robotniczej za to, że dzieciom robotników i chłopów otworzyła się droga do nauki i wiedzy i dała możliwość zdobycia najwyższych i najzaszczytniejszych stanowisk"*.

Jednym z absolwentów socjalistycznego sądownictwa był Władysław Michałuszko.

Po otrzymaniu świadectwa ukończenia Szkoły Prawniczej z wynikiem ogólnym dobrym – równocześnie minister sprawiedliwości wręczył Władysławowi Michałuszce dekret o mianowaniu go asesorem w okręgu Sądu Wojewódzkiego w Kielcach. W okręgu Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie na stanowisko asesorów sądowych nominacje otrzymali:

Nadzieja Bała, Marian Biczak, Władysław Bołtowicz, Paulina Jesionowska, Alfred Popiołek, Hubert Pytlak, Teresa Tabiś, Kazimierz Zaworski i Kazimierz Kmieciak.

Wszyscy wymienieni byli czołowymi działaczami społeczno – politycznymi i bardzo szybko awansowali. Przykładowo, Marian Biczak powołany został na sędziego już 14.11. 1952 r. Z kolei Nadzieja Bała otrzymała nominację sędziowską 20.12.1952 r. Zawrotną karierę zrobił Kazimierz Kmieciak, mianowicie na stanowisko sędziego został powołany 23.05.1952 r., a po kilku miesiącach tegoż roku awansował na stanowisko Prezesa Sądu Powiatowego w Nowogardzie. Natomiast Kazimierz Zaworski po otrzymaniu w dniu 8.05.1952 r. nominacji sędziowskiej, po dwóch latach pracy został powołany na Prezesa Sądu Powiatowego w Myśliborzu. Pozostali absolwenci tej szkoły, po otrzymaniu nominacji na asesorów, rozjechali się po całym kraju. [ ]

Ryszard Różycki
Wiceprezes Zarządu Oddziału Zrzeszenia
Prawników Polskich w Szczecinie

Marcin Przybysz – *prawnik, członek Komisji Upowszechniania Międzynarodowego Prawa Humanitarnego przy Zarządzie Okręgowym PCK w Szczecinie, członek Zarządu Stowarzyszenia Edukacji Społecznej i Prawnej „Ius et Ratio”*

Inter arma silent leges?

Historyczne zasługi Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża jako bezstronnej, neutralnej i niezależnej organizacji humanitarnej chroniącej ludzkie życie i godność podczas wojen i wewnętrznych konfliktów zbrojnych oraz udzielającej pomocy ich ofiarom są powszechnie znane. Niewiele osób zdaje sobie jednak sprawę z wielkiej roli, którą odgrywa ruch czerwonokrzyski w monitoringu przestrzegania i tworzeniu międzynarodowego prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych. Dowodem na to jest świeżo wydane przez wydawnictwo Cambridge University Press pod auspicjami MKCK „Studium poświęcone zwyczajowemu międzynarodowemu prawu humanitarnemu” – licząca ponad 5.000 stron trzytomowa publikacja - efekt tytanicznej, trwającej 10 lat pracy wybitnych prawników z 47 krajów pracujących pod redakcją Jean-Marie Heanckaertsa i Louise Doswalda Becka.

Oprócz wielu zadań realizowanych przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, Międzynarodową Federację Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca oraz stowarzyszenia krajowe na polu pomocy ofiarom katastrof i klęsk żywiołowych, ochrony i promocji zdrowia, głównym zadaniem ruchu czerwonokrzyskiego i zwłaszcza MKCK pozostaje niezmiennie od jego powstania w 1863 r. upowszechnianie międzynarodowego prawa humanitarnego. Zadaniem tej zaś gałęzi prawa jest zapewnienie poszanowania istot ludzkich w stopniu dającym się pogodzić z koniecznością wojskową i porządkiem wojskowym oraz złagodzenie trudności powodowanych działaniami zbrojnymi.

Międzynarodowe prawo humanitarne konfliktów zbrojnych dzieli się na „prawo haskie” i „prawo genewskie”. „Prawo typu haskiego”, w większości niezmienne od 1907 roku, zawiera normy o metodach i środkach walki oraz prowadzeniu operacji wojskowych. Jego adresatami są zatem dowódcy wojskowi operacji na lądzie, morzu i w powietrzu. Ochroną cywilnych i wojskowych ofiar wojny (rannych, chorych, rozbitków i jeńców wojennych), jako osób nie biorących udział w działaniach wojennych, zajmuje się zaś „prawo typu genewskiego” oparte na 4 konwencjach z 1949 roku.

Zaraz po drugiej wojnie światowej przedstawiciele państw wstrząśnięci ogromem nieszczęść, które pomimo a niekiedy wbrew obowiązującym do tej pory normom prawa humanitarnego dotknęły podczas jej trwania głównie ludność cywilną, zdecydowali się podpisać 12 sierpnia 1949 roku w Genewie cztery konwencje mające efektywniej chronić osoby najbardziej dotknięte sytuacją konfliktu zbrojnego. Były to:

I Konwencja o polepszeniu losu rannych i chorych w armiach czynnych (Dz. U. 1956 r, nr 38, poz. 171, załączniki),

II Konwencja o polepszeniu losu rannych, chorych i rozbitów sił zbrojnych na morzu (Dz. U. 1956 r., nr 56, poz. 175, załącznik),

III Konwencja o traktowaniu jeńców wojennych (Dz. U. 1956 r., nr 38, poz. 175, załącznik) oraz

IV Konwencja o ochronie osób cywilnych podczas wojny (Dz. U. 1956 r., nr 38, poz. 171, załącznik).

Pomimo ogromnego postępu, jaki stanowiły Konwencje genewskie z 1949 roku i niewątpliwych korzyści, które przyniosły zarówno te traktaty jak i przyjęta pięć lat później Konwencja haska o ochronie dóbr kultury w razie konfliktu zbrojnego (Dz. U. 1957 r., nr 46, poz. 212, załącznik), nie mogły one na przykład skutecznie chronić ofiar konfliktów towarzyszących procesom dekolonizacyjnym i tzw. wojnom narodowowyzwoleńczym. Praktyką do tej pory niestosowaną było również wprowadzenie w latach 60. i 70. nowych śmiercionośnych broni (np. zapalających lub rozpryskujących się) powodujących niczym nieuzasadnione cierpienia ludności cywilnej, co wymagało reakcji społeczności międzynarodowej.

Usprawnieniu i doprecyzowaniu norm prawa humanitarnego miało służyć zwołanie w 1974 roku Konferencji Dyplomatycznej w Genewie oraz wieńczące jej prace przyjęcie protokołów dodatkowych z 8 czerwca 1977 roku – Protokółu I dotyczącego ochrony ofiar międzynarodowych konfliktów zbrojnych (Dz. U. z 1992 r., nr 41, poz. 175, załącznik), będącego rozwinięciem i doprecyzowaniem norm zawartych w 4 konwencjach oraz Protokołu II, którego przedmiotem jest ochrona ofiar niemiędzynarodowych konfliktów zbrojnych (Dz. U. z 1992 r. nr 41, poz. 175, załącznik).

Uwzględniając powyższe regulacje prawne, jak i szereg podpisanych i ratyfikowanych w ciągu ostatnich prawie trzydziestu lat umów międzynarodowych dotyczącej tej problematyki, ze Statutem Międzynarodowego Trybunału Karnego z 1998 roku na czele (Dz. U. z 2003 r., nr 78, poz. 708) należy stwierdzić, iż wciąż daleko nam do sytuacji pełnego przestrzegania przez wiele państw choćby podstawowych zasad humanitarnych w nich zawartych. Dzieje się tak z kilku powodów. Po pierwsze, mimo iż podstawowe konwencje genewskie z 1949 roku ratyfikowały niemalże wszyst-

kie istniejące państwa, to już do pozostałych umów z zakresu międzynarodowego prawa humanitarnego, w tym przede wszystkim protokołów dodatkowych z 1977 roku, wiele państw nie przystąpiło. Po drugie, należy zauważyć, iż mimo że stronami Protokołu II jest obecnie niemalże 160 państw, to większość konfliktów zbrojnych o charakterze niemiędzynarodowym, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnim czasie, toczyło się na terytorium lub z udziałem właśnie tych państw, które tej umowy nie ratyfikowały.

MKCK świadom tej trudnej sytuacji dostrzegł potrzebę dania mocniejszego impulsu do dalszych prac nad doskonaleniem prawa humanitarnego. Umożliwiła mu to treść Art. 38.1 (b) Statutu Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, określającego katalog źródeł prawa międzynarodowego i przyznającego status źródła prawa międzynarodowego, obok konwencji, również międzynarodowym zwyczajom jako „dowodom istnienia powszechniej praktyki przyjętej jako prawo". Obradująca w 1995 roku w Genewie Międzyrządowa Grupa Ekspertów na Rzecz Ochrony Ofiar Wojny zwróciła się do MKCK z prośbą o stworzenie raportu - studium dotyczącego zwyczajowego międzynarodowego prawa humanitarnego, mającego zastosowanie w międzynarodowych i niemiędzynarodowych konfliktach zbrojnych oraz przesłanie tego raportu do państw i właściwych gremiów międzynarodowych.

Grupa ekspertów międzynarodowych, której zlecono wykonanie tego zadania, swoją metodologię pracy, jak również ostatecznie strukturę samego raportu, oparła na podziale mającym swoje źródło w orzecznictwie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, to jest głównie rozstrzygnięciu w sprawie szelfu kontynentalnego (Libia przeciwko Malcie, wyrok z 3 czerwca 1985 r. ICJ Reports, 1985, s. 29, § 27). To właśnie w tym wyroku zawarto dwuczłonową definicję pojęcia „normy zwyczajowej", której to warunkiem uznania jest:

a) praktyka państwa *(usus)* oraz

b) przeświadczenie, że praktyka ta jest wymagana, zakazana bądź dozwolona, w zależności od charakteru normy, przez prawo *(opinio iuris sive necessitatis)*.

Zbadanie reguł praktyki państwowej obejmujących zarówno akty materialne (np. zachowania na polu walki, traktowanie określonych grup osób czy użycie określonych rodzajów broni), jak i werbalne czynności państw (np. ustawodawstwo krajowe, orzecznictwo sądów krajowych, wszelkiego rodzaju instrukcje wojskowe, regulaminy i opinie doradców prawnych państw) powierzono zespołom badaczy z 47 krajów wszystkich obszarów geograficznych reprezentujących zarówno rządy, instytucje naukowe, jak i organizacje pozarządowe. Badania prowadzono z wykorzystaniem zarówno wewnętrznych, jak i międzynarodowych źródeł ukazujących praktykę państw – zarówno tych będących stronami Protokołów, jak i tych, które ich nie ratyfikowały. Wyniki prac zostały następnie zebrane w sześciu częściach Studium określonych w uprzednio zakreślonym planie działania ekspertów, a mianowicie:

1) zasadzie rozróżnienia,
2) osobach i obiektach objętych szczególną ochroną,
3) określonym metodom prowadzenia wojny,
4) broniom,
5) traktowaniu osób cywilnych oraz osób wyłączonych z walki,
6) implementacji.

Dogłębna analiza praktyki państw oraz jej ocena przez Komisję Koordynacyjną, obradującą w Genewie 1998 roku, pozwoliła wyodrębnić 161 zasad międzynarodowego prawa humanitarnego o charakterze norm zwyczajowych mających zastosowanie w zarówno międzynarodowych, jak i niemiędzynarodowych konfliktach zbrojnych. Normy te, jako spełniające obie wyżej wskazane przesłanki norm zwyczajowych (praktyka i opinio iuris), wiążą wszystkie państwa, niezależnie od ratyfikowanych przez nie traktatów oraz zbrojne grupy oporu (w przypadku zasad mających zastosowanie do wszystkich stron konfliktu niemiędzynarodowego). Jest to zatem największe osiągnięcie twórców Studium.

Nie ulega również wątpliwości, iż zamknięte w 3 tomach (dwa poświęcone praktyce poszczególnych państw oraz jeden poświęcony wynikającej z niej zasadom). Studium będzie z jednej strony nieocenionym instrumentem w codziennej pracy trybunałów międzynarodowych, z drugiej zaś bardzo konkretnym zbiorem wskazówek i hamulców dla legislatorów krajowych, władz wojskowych oraz papierkiem lakmusowym stosowanym przez organizacje międzynarodowe zajmujące się monitoringiem przestrzegania i rozwojem międzynarodowego prawa humanitarnego. Sam Jean-Marie Heanckaerts jako osoba odpowiedzialna za przygotowanie Studium stwierdził jednak, iż ujawnienie w trakcie prac szeregu obszarów, co do których praktyka nie jest jednoznaczna i wymaga doprecyzowania, jak np. definicja osób cywilnych w niemiędzynarodowym konflikcie zbrojnym czy też zakres zastosowania zasady proporcjonalności, wskazuje na to, iż nawet tak gigantyczna praca i tak szczegółowa publikacja musi być traktowana co najwyżej jako początek kolejnego etapu rozwoju norm i zasad międzynarodowego prawa humanitarnego i zaproszenie do dalszej dyskusji i dialogu dotyczącej implementacji tych norm. [ ]

Ps. Szczegółowe informacje na temat bieżącej działalności Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża na polu międzynarodowego prawa humanitarnego (w tym artykuły i komentarze na temat wydanego w ubiegłym roku „Studium poświęcomu zwyczajowemu międzynarodowemu prawu humanitarnemu") można znaleźć na stronie internetowej www.icrc.org.

W tekście wykorzystałem fragmenty artykułu Jeana – Marie Heanckertsa „Study on customary international law: A contribution to the understanding and respect for the rule of law in armed conflict", który ukazał się w International Review of the Red Cross, tom 87, nr 857, marzec 2005 (w tłumaczeniu Michała Sajkowskiego opublikowanego się w Polsce przez Ośrodek Upowszechniania Prawa Humanitarnego ZG PCK w Warszawie) oraz książki "Służyć i chronić – Prawa człowieka i prawo humanitarne dla policji i organów bezpieczeństwa" Ceesa de Rovera w tłumaczeniu Prof. Tadeusza Jasudowicza wydanej przez Centrum Szkolenia Policji w Legionowie w 2002r.

W swoim artykule „Ucieczka od sprawiedliwości" (In Gremio nr 6) Dariusz Jan Babski alarmuje o zagrożeniu obywatelskiego prawa do sądu w sprawach cywilnych. Miałoby się tak dziać z uwagi na brak powinności sądu dochodzenia do prawdy materialnej i dopuszczania dowodów z urzędu, a także z uwagi na skierowane do stron nakazy koncentracji dowodów i twierdzeń. Zaniepokojenie autora wymaga krótkiej riposty, bowiem stan prawa i praktyka sądowa nie uzasadnia wielu nieco dramatycznych stwierdzeń zawartych w artykule.

Nie sposób nie zauważyć, że cywilne postępowanie nieprocesowe jest zbiorem modelowych obowiązków działania sądu z urzędu. Sąd nieprocesowy ma nakaz ustalenia składu i warto-

Sprawiedli

Grzegorz Szacoń
Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

ści majątku spadkowego (art. 684 k.p.c.), składu i wartości majątku przy zniesieniu współwłasności (art. 619 § 1 k.p.c.) oraz przy podziale majątku małżeńskiego (art. 46 k.r.o.). Sąd powinien ustalić i odszukać spadkobierców (art. 670 § 1 k.p.c.). Przy wytyczaniu drogi koniecznej ustawodawca wysyła sąd na oględziny nieruchomości (art. 626 § 2 k.p.c.), a w sprawach rodzinnych sąd może od początku do końca działać z urzędu (co przede wszystkim przekłada się na postępowanie dowodowe). Sędziowie orzekający w sprawach nieprocesowych zmagają się wielokrotnie z obowiązkiem ustalenia tego czy innego elementu stanu faktycznego przy frustrującej obojętności stron (czasem działających także z pomocą profesjonalnego pełnomocnika). A w sferze praktyki znamy przykłady wskazówek naszego sądu odwoławczego, wyrażanych przy uchylaniu postanowień sądów rejonowych, które akcentują ten obowiązek. Zatem, wbrew sugestiom autora, sprawy cywilne nie mają mniejszego znaczenia dla ustawodawcy pod względem dążności do prawdziwych ustaleń faktycznych – w szczególności w sprawach budzących takie emocje, jak spadkowe i podziały majątku małżeńskiego.

Skierujmy jednak uwagę na tryb procesowy, którego obecnej koncepcji autor nie szczędzi mocnych sformułowań. Zgodnie ze znowelizowanym art. 206 § 2 k.p.c. (Ustawa nowelizująca zawarta w Dz.U. z 2006 roku, nr 66, poz. 466) równocześ-

nie z doręczeniem pozwu i wezwaniem na pierwszą rozprawę poucza się pozwanego o czynnościach procesowych, które może lub powinien podjąć, jeśli nie uznaje żądania pozwu, o możliwości wniesienia odpowiedzi na pozew lub o przedstawieniu wniosków, twierdzeń i dowodów na rozprawie, skutkach niepodjęcia takich czynności, m.in. w postaci wydania wyroku zaocznego i obciążenia kosztami. W znowelizowanym art. 212 k.p.c. odnajdujemy obowiązek sądu naprowadzenia stronie nawet zakresu roszczeń, jakie może zgłosić. Trudno o przykład szerszego zestawu informacji procesowych skierowanych do strony. Z założenia mają one być sformułowane przystępnie, by dawały stronie pojęcie o jej sytuacji prawnej. Utożsamianie podjęcia przez stronę działań zawartych w tych pouczeniach z „tajnikami zawiłych kruczków prawnych" jest mało umiarkowaną przesadą.

wość nie ucierpi

Myślę, że nikogo nie przekona koncepcja powinności przejęcia przez sąd inicjatywy dowodowej, bo strona wpłaca opłatę od pozwu, a „każdy musi być dobrze obsłużony za swoje pieniądze". Pomiędzy stroną a sądem nie dostrzegam stosunku, w którym więź tworzy czy potęguje wartość uiszczonej opłaty od pozwu. Sądzę, że autor wypowiedzi nie szczędziłby zdecydowanych środków procesowych w sprawie, w której reprezentowałby pozwanego, a sąd „ujałby się" za mało aktywnym powodem i prowadził za niego dowody, powołując się na okoliczność, że ten wpłacił przecież wysoką opłatę od pozwu, więc musi być dobrze „obsłużony".

Na pytanie, dlaczego nie uwolnić całkowicie terminów do naprowadzania wniosków dowodowych i nie obciążyć wywołanymi nimi kosztami strony „niesumiennej lub postępującej oczywiście niewłaściwie", odpowiedź jest prosta. To właśnie groźba sankcji ekonomicznych za aktywność procesową byłaby najjaskrawiej niekonstytucyjna. Nadto sądy zamiast skupiać się na ocenie meritum sprawy poświęcałyby czas na recenzję wniosków dowodowych zgłaszanych przez strony. Łatwo przewidzieć reakcję pełnomocników, którzy dowiadują się, że wnioski dowodowe (często istota ich zastępstwa procesowego) powodują odpowiedzialność finansową klienta.

Ostatecznie trudno podzielić zdanie, że obecny w procesie cywilnym formalizm blokuje dociekanie przez Sąd prawdy, a co więcej - że stwarza wprost zagrożenie dla Państwa z punktu widzenia społecznego niezadowolenia co do sposobu rozpoznania sprawy. Pominę liczne kontrargumenty, wynikające z przepisów „pierwszoinstancyjnych" i wskażę jako na koronne unormowanie z art. 386 § 4 k.p.c., zgodnie z którym orzeczenie podlega uchyleniu, jeśli sąd nie rozpoznał istoty sprawy. Nawet obciążony formalizmem sąd musi dotrzeć w ustaleniach i rozważaniach do sedna problemu tworzącego spór, bo inaczej ryzykuje, że jego praca pójdzie na marne. Sąd Najwyższy niezmiennie wskazuje, iż nierozpoznanie istoty sprawy zachodzi wówczas, gdy rozstrzygniecie sądu nie odnosi się do tego, co było przedmiotem sprawy, gdy zaniechał on zbadania materialnej podstawy powództwa.[1]

Diagnoza, że unormowania postępowania cywilnego nie urzeczywistniają konstytucyjnej konstrukcji prawa do sprawiedliwego rozpatrzenia sprawy jest mylna. Zasady kontradyktoryjności i koncentracji materiału dowodowego, zaostrzone przy ostatnich nowelizacjach, nie stanowią swoistego zagrożenia dla praworządności. Jedna z najbardziej aktualnych w filozofii prawa, tzw. postklasyczna teoria procesu, wskazując na reguły konstrukcji uczciwego i rzetelnego procesu postuluje, by każdy proces „zapewniał stronom taki zakres partycypacji w czynnościach procesowych, by mogły one widzieć w nim przede wszystkim rezultat swoich własnych działań, a nie tylko autorytatywną decyzję sądu".[2]

Trybunał Konstytucyjny wskazał w jednym z orzeczeń, że „zasada koncentracji materiału dowodowego, dobrze służąc celom, dla których ustawodawca zdecydował się wprowadzić do naszego systemu prawa postępowanie uproszczone, nie przynosi uszczerbku uczestnikom postępowania. Nie ogranicza ich dostępu do sądu, ani nie wymusza na nich korzystania z pomocy profesjonalnego pełnomocnika". Odnośnie różnic w procedurze w sprawach cywilnych i gospodarczych Trybunał, aprobując je, stwierdził, że „dostosowanie procedur do różnych rodzajów spraw jest swego rodzaju znakiem czasu, charakterystycznym dla wszystkich demokratycznych państw, w których ochroną sądową obejmuje się coraz to szerszy zakres ludzkiej aktywności".[3] [ ]

1) *Wyrok SN z dnia 25 listopada 2003 roku, sygn. II CK 293/02, Lex 151622;* ***2)*** *Lech Morawski „Główne problemy współczesnej filozofii prawa. Prawo w toku przemian" WP PWN W-wa 1999, s. 176;* ***3)*** *Wyrok TK z dnia 13 stycznia 2004 roku, sygn. Sk 10/03.*

Maciej Maciejowski

Film polski jako element

W ostatnich miesiącach dużo się mówi na temat polityki historycznej państwa, której celem jest m.in. pobudzenie wrażliwości Polaków na pozytywne wartości płynące z narodowych dziejów. Miejmy nadzieję, że próba ta posłuży bardziej refleksji niż kreacji mitów obliczonych na uzyskanie doraźnych korzyści politycznych. Nad polityką historyczną państwa polskiego warto niewątpliwie dyskutować, swobodna dysputa należy przecież do tradycji społeczeństw demokratycznych. Nawrót do powyższej idei jest swoistym antidotum na brak podobnej polityki u rządów lewicy, która demonstrowała odejście od historii, czego znamiennym przykładem było hasło: Wybierzmy przyszłość. Program odwrotu od historii był konsekwentnie realizowany w ostatnich latach, m.in. przez TV polską, gdzie stopniowo eliminowano programy historyczne.

Odejście od historii dostrzec możemy również w polskiej kinematografii po 1989 r., co wydaje się paradoksalne, zważywszy, iż w III Rzeczpospolitej twórcy mogli podejmować bez przeszkód wszystkie dotąd zakazane tematy odnoszące się do dziejów Polski (i nie tylko) bez obawy o ingerencję cenzury, za sprawą której wiele filmów w PRL zostało zdeformowanych, inne zaś przez wiele lat nie trafiały do rozpowszechniania. Przyczyn tego stanu rzeczy jest zapewne wiele. Najłatwiej jest wskazać te najbardziej przyziemne, związane z kosztowną produkcją wielkich widowisk czy seriali historycznych, które wszakże tak u nas jak i zagranicą, stanowią wizytówkę poszczególnych kinematografii bądź kanałów telewizyjnych. Co jednak ważniejsze, zabrakło w kręgach opiniotwórczych odpowiedniego klimatu dla realizacji podobnych projektów. W początkach lat dziewięćdziesiątych miażdżące oceny krytyków takich filmów, jak: **Pierścionek z orłem w koronie** w reż. Andrzeja Wajdy, ukazujący dylematy Polaków związanych z Armią Krajową w okresie od upadku powstania warszawskiego do aresztowania przez NKWD przywódców podziemnego państwa polskiego, czy **Szwadron** w reż. Juliusza Machulskiego, stanowiący akcent polemiczny na temat ceny, jaką przyszło zapłacić społeczeństwu polskiemu za powstanie styczniowe, na długo odstraszyły rodzimych filmowców od umiejscowienia historii w centrum fabuły. A przecież oba wspomniane filmy, niezależnie od swej artystycznej wartości, były ważnymi głosami w dyskusji nad naszymi polskimi sprawami.

Zabrakło również interesujących propozycji ze strony TV polskiej, która przed 1989 r. specjalizowała się w serialach historycznych. Przedstawiona przez Izabelę Cywińską wizja kresów wschodnich w pierwszej połowie XX w. w serialu **Boża podszewka** została odrzucona przez większość widzów, ze względu na całkowity brak pozytywnych wzorców reprezentowanych przez bohaterów, a tym samym niemożność utożsamienia się z nimi. Powyższy serial, w momencie gdyby istniało kilka innych filmów na ten temat, mógłby stanowić intelektualne wyzwanie pobudzając do polemiki, jako wyłączna panorama kresów jest trudny do zaakceptowania. Również serial **Przeprowadzki** w reż. Leszka Wosiewicza opowiadający o losach rodziny warszawskiej w latach 1901-1942, z uwagi na przyjętą lekką formę, nie mógł wywołać głębszej dyskusji. To samo można powiedzieć, o skądinąd zręcznie skonstruowanym przez Kazimierza Kutza **Pułkowniku Kwiatkowskim**, w którym bardzo poważny temat (działalność Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego w okresie powojennym) został ukazany w tonie raczej rozrywkowym.

Wydawało się, że u schyłku dekady lat dziewięćdziesiątych impas w powyższej dziedzinie zostanie przełamany. Na ekrany weszły wówczas tzw. superprodukcje: **Ogniem i mieczem** w reż. Jerzego Hoffmana, **Pan Tadeusz** w reż. Andrzeja Wajdy, **Quo vadis** w reż. Jerzego Kawalerowicza, **Przedwiośnie** w reż. Filipa Bajona, skłaniając razem blisko 20 milionów widzów do odwiedzenia kin. Film Jerzego Hoffmana, mimo obaw wyznawców poprawności politycznej, został dobrze przyjęty również na Ukrainie, a polskiemu reżyserowi nasi wschodni sąsiedzi powierzyli następnie kręcenie serialu dokumentalnego o dziejach własnego kraju. Także prezentowany w Wilnie **Pan Tadeusz** spotkał się zainteresowaniem lokalnej społeczności. Oba filmy, chcąc nie chcąc, stały się więc elementem polskiej polityki historycznej w okresie rządów premiera Jerzego Buzka, przypominając o obecności kultury polskiej poza obecnymi granicami Rzeczpo-

spolitej. Krytycy znowu byli jednak niezadowoleni, głosząc lekceważącym tonem, iż kino polskie winno podejmować przede wszystkim tematy współczesne, a nie zajmować się ekranizacją lektur szkolnych. Tym samym podważyli, chyba niezbyt świadomie, uniwersalną wartość poszczególnych dzieł literackich.

W toczącej się od lat w Polsce dyskusji na temat niedostatku dobrych scenariuszy filmowych, jak gdyby nie dostrzega się faktu, iż historia, także ta najnowsza, sama w sobie dostarcza doskonałej treści dla interesującej fabuły. Lista nie podjętych po 1989 r. przez filmowców tematów z historii Polski jest bardzo długa. Nie ma odrębnego filmu bądź serialu poświęconego dramatycznej wojnie z bolszewicką Rosją w latach 1919 -1920 r. A przecież temat wart jest podjęcia chociażby ze względu na to, iż w przeciągu ostatnich 300 lat był to jedyny, w pełni samodzielnie wygrany przez Polskę konflikt zbrojny. Brak filmów o najeździe wojsk radzieckich na II Rzeczpospolitą 17 września 1939 r. i wszystkich konsekwencjach, jakie się z tym wydarzeniem wiązały dla społeczeństwa polskiego, włącznie ze sprawą Katynia. Nie ma filmów o polskim państwie podziemnym, Armii Krajowej, nowych filmów o powstaniu warszawskim. Nie ma filmu o bitwie pod Monte Cassino, w której Polacy mieli swój znaczący udział, brak zresztą także spojrzenia na losy naszych rodaków przebywających na emigracji podczas drugiej wojny światowej. W tej tematyce przebili nas nawet – rzadziej podejmujący wątki historyczne w swoim kinie Czesi, czego przykładem jest film Jana Šveraka **Ciemnoniebieski świat**, opowiadający o grupie czeskich lotników biorących udział w Bitwie o Anglię, a następnie o ich gorzkich doświadczeniach po powrocie do komunistycznej Czechosłowacji. Nie została podjęta, poza wspomnianym wyżej **Pierścionkiem z orłem w koronie**, kwestia początków istnienia PRL, bardzo ważna ze względu na zrozumienie dalszych losów Polski aż po dzień dzisiejszy. Nieliczne filmy odnoszące się do epoki stalinowskiej: **Poznań 1956** w reż. Filipa Bajona czy **Prymas** w reż. Teresy Kotlarczyk dotyczą już okresu późniejszego. Bardzo rzadko realizowano również filmy biograficzne, zazwyczaj stanowiące wdzięczny temat w kinie, dające bowiem możliwość interpretacji psychologicznej motywów działania bohatera, jak też polemiki z podręcznikowym wizerunkiem narodowych herosów. **Serial o Józefie Piłsudskim** w reż. Andrzeja Trzosa – Rastawickiego ze względu na bardzo skromne środki wyasygnowane przez TV polską bardziej przypominał teatr telewizji aniżeli film, co siłą rzeczy spowodowało nikłe zainteresowanie szerszej widowni całym przedsięwzięciem. Tak więc z winy decydentów serial poświęcony jednej z najważniejszych postaci w dziejach Polski przemknął przez ekrany niemal niezauważony.

Pod tym względem PRL potrafił znacznie lepiej zadbać o legitymizację własnych rządów, także za pomocą odpowiednich produkcji filmowych. Stąd cała masa filmów o walce z powojennym reakcyjnym podziemiem, heroicznych zmaganiach LWP u boku armii radzieckiej z Niemcami, bohaterskich milicjantach, itp. Broniąc współczesnego polskiego przemysłu filmowego, można powiedzieć, że III Rzeczpospolita nie potrzebuje podobnego uzasadnienia dla swej egzystencji, a więc podpierania się scentralizowaną

polityki historycznej

i poddaną kontroli kinematografią. Poza tym w wolnym kraju żadnemu twórcy nie można narzucić tematu dla jego filmu. Chodzi jednak o co innego, czy TV polska dysponująca wszakże niemałymi środkami, także płynącymi z kieszeni podatnika, musi nas karmić w porze największej oglądalności trzeciorzędnymi filmami amerykańskimi, które sprawiają wrażenie jakby były kupowane hurtowo lub na wagę? Wydaje się, że widzowi wiele można wmówić, ale też nie należy chyba bez końca obrażać jego inteligencji. Czy w miejsce szmiry nie mogłyby pojawić się wartościowe i skłaniające do refleksji polskie seriale historyczne, wypełniające białe plamy w dotąd nie poruszanej tematyce. Mamy w tej materii przecież cenne doświadczenia, żeby wspomnieć np.: **Kolumbów** i **Polskie drogi** w reż. Janusza Morgensterna czy **Dom** w reż. Jana Łomnickiego. Chociaż filmy te nie mogły wówczas ze względów cenzuralnych odnieść się do wielu drażliwych kwestii, pozostały w pamięci jako przykłady warsztatowego profesjonalizmu ich twórców oraz kreacji aktorskich wysokiej próby. Historia była też osią dramaturgiczną rozpoznawalnych za granicą filmów tzw. Szkoły Polskiej, której główni reprezentanci, Andrzej Munk i Andrzej Wajda, potrafili krzepić nie tylko serca, lecz także umysły.

Nowy rząd zapowiada realizację polityki historycznej. Czy znajdzie się w niej miejsce dla promocji filmu, ambitnego dokumentu czy teatru telewizji poruszających tematy z historii Polski a może nawet dziejów powszechnych? Czas pokaże. Kreując politykę historyczną trzeba pamiętać o kinie, bowiem film może trafić do milionów odbiorców, gdy najlepsza nawet książka już tylko, niestety, do kilku bądź kilkunastu tysięcy czytelników. Tym większa odpowiedzialność spada więc na twórców potencjalnych polskich filmów historycznych, przed którymi stoi trudne wyzwanie połączenia wartości artystycznych z atrakcyjną fabułą oraz solidnym odtworzeniem realiów. Spór o pamięć historyczną czy o wybór tradycji nadal się toczy i chyba warto, aby wzięło w nim udział również kino polskie, chociażby dlatego, by móc zastąpić emitowany przynajmniej raz do roku serial **Czterej pancerni i pies** innymi propozycjami dla widzów. [ ]

Mówisz, że zaprowadzisz w społeczeństwie sprawiedliwy porządek, ale co dokładnie rozumiesz przez sprawiedliwość?

Sokrates

Filozofia praktyczna i sofistyka

[Dr Daniel Bogacz]
Wydział Prawa i Administracji US

Początki zachodniej filozofii prawa, stanowiącej integralną część tzw. filozofii praktycznej, która nie pyta o to, co jest i nie określa granic bądź źródeł ludzkiego poznania, lecz poszukuje kryteriów słuszności ludzkiego postępowania, wiązane są najczęściej z postacią Sokratesa (469-399 p.n.e.). Mimo, iż myśliciel ten nie napisał żadnego filozoficznego dzieła a życie swe spędził na ulicznych dyskusjach w rodzinnych Atenach, zachowane o nim świadectwa wskazują na istotną przemianę, jakiej dokonał on w filozoficznym myśleniu Starożytnych. Sokratejskie pytania o istotę dobra, piękna, mądrości, sprawiedliwości, opanowania, pobożności, odwagi, rozsądku itp. okazały się tak doniosłe, iż w odniesieniu do wcześniejszej filozofii greckiej przyjęło się określenie: „filozofia przed-sokratejska". Sława Sokratesa, oparta na niekwestionowanym, powszechnym przekonaniu o wybitnej roli, jaką myśliciel ten odegrał w dziejach filozofii europejskiej, przetrwała do dziś, nienaruszona przez ponad dwa tysiąclecia. Wobec tego rodzi się pytanie o istotę samej filozofii sokratejskiej, która miała wyznaczyć nowe, do dziś obowiązujące kierunki refleksji nad sferą tzw. ludzkiej praktyki.

Pierwsze przebłyski greckiej myśli o normach regulujących tzw. stosunki międzyludzkie, a więc o normach prawa, moralności, obyczajowości, czy też o zasadach odnoszących się do praktyki władzy politycznej, spotykamy już w dziełach Homera, które wyprzedzają o trzy stulecia uliczne debaty Sokratesa. Z epoki przedsokratejskiej, rozciągającej się między VIII i V wiekiem p.n.e., znane są liczne wypowiedzi greckich intelektualistów (literatów, historyków, polityków, filozofów i tzw. sofistów), podejmujące problematykę etyczną. W czym zatem tkwiła różnica, oddzielająca te wypowiedzi od filozofii Sokratesa? Otóż większość z tych intelektualistów nie uprawiało filozofii w jej sensie dosłownym. Jedni tworzyli dzieła, będące wyrazem ich wyobraźni poetyckiej, inni dociekali przede wszystkim prawdy o faktach (historycznych, społecznych, psychologicznych), jeszcze inni starali się wykorzystywać tę wiedzę naukową do tworzenia metod skutecznej konkurencji w życiu prywatnym i publicznym. Stosunkowo nieliczni w tamtych czasach filozofowie dążyli natomiast do wiedzy ogólnej, która może się opierać tak na poetyckiej intuicji, jak i na zmysłowej obserwacji. Do żadnej z tych sfer poznania wiedza filozoficzna nie może się jednak ograniczać.

W sensie dosłownym filozofia oznacza więc poszukiwanie (umiłowanie) wiedzy (mądrości) ogólnej, która nie wynika z faktów (zjawisk, przeczuć, objawień) czy też z konstrukcji matematycznych, lecz wyprowadzana jest z pojęć. Filozofia przed-sokratejska, po wyzwoleniu się w VI w. p.n.e. z mitologiczno-religijnego wyobrażenia świata, poszukiwała tych pojęć głównie w odniesieniu do zagadnień przyrodniczych (ontologia, kosmologia), bądź logicznych. Pierwsi tzw. filozofowie przyrody, podobnie jak pitagorejczycy, zajmowali się wprawdzie wybranymi problemami filozofii praktycznej, jednak uniwersalny porządek etyczny postrzegali oni jako integralny element obiektywnego porządku świata. Sokrates zwrócił natomiast uwagę na pojęcia wartości, odzwierciedlające się w języku codziennych rozmów, zwłw mowach sądowych bądź politycznych, a przywoływane dla oceny ludzkich uczynków. Poszukując definicji tych pojęć, myśliciel ten stał się zatem twórcą etyki – nauki o wartościach moralnych, odnoszonych również do prawa, polityki oraz innych sfer życia społecznego. Tym samym odwrócił Sokrates uwagę filozofów od problemu natury świata fizycznego i skierował ją na problem istoty ludzkiej i celu jej istnienia w świecie. Czyniąc to, nie popadł on jednak w pozytywistyczny biologizm, prowadzący do zwątpienia w istnienie uniwersalnych wartości etycznych. Wydaje się, iż w tym właśnie punkcie tkwi podstawowa różnica między filozofią praktyczną i tzw. sofistyką.

Sofiści zasadniczo negowali istnienie pojęć ogólnych, również ogólnych pojęć wartości, które mogłyby stać się przedmiotem ludzkiego poznania. Wartości - ich zdaniem – mogły być tylko przedmiotem ludzkiej kreacji, która na gruncie głoszonego przez nich humanizmu, indywidualizmu i relatywizmu, oznaczała ludzką konwencję, kształtującą się w procedurach demokratycznych. Nie dostrzegali przy tym, iż tzw. społeczne poczucie sprawiedliwości, wyrażane nawet przez demokratyczną większość, może być wielce niesprawiedliwe. Głosząc tzw. sceptycyzm aksjologiczny, sofiści z reguły nie mieli jednak problemów z reklamowaniem nauczanych przez nich umiejętności jako niezawodnych metod, opartych na wiedzy pewnej. Czymże bowiem są spekulacje filozofów wobec sprawdzonych technik przekonywania ludzi pogrążonych w stereotypach, zwierzęcych popędach i namiętnościach?

W przeciwieństwie do sofistów, którzy zawsze „wiedzieli", jak należy postępować, aby osiągnąć zamierzony cel, Sokrates wiedział tylko jedno, i to jedno głosił - że nic nie wie. Twierdzenie to, jak żadne inne, oddaje istotę myślenia filozoficznego. Miłując mądrość, nigdy nie będziemy bowiem głosili, że ją posiadamy. Tylko wtedy też będziemy mogli rzeczywiście się do niej zbliżyć, o wiele bardziej, niż ci, którzy twierdzą, że prawdę poznali w całości. W odniesieniu do problemu ludzkich zdolności poznawczych Sokrates wydaje się więc bardziej konsekwentnym sceptykiem, niż sofiści. Ograniczoność po-

znawcza człowieka nie dotyczy bowiem tylko pojęć, ale również faktów i konstrukcji matematycznych. Zgodnie z założeniem filozoficznej niewiedzy, nie doszedł więc Sokrates do żadnej z poszukiwanych przez siebie definicji cnoty.

Ludzka niezdolność do powszechnie i koniecznie (naukowo) wiążącego definiowania wartości uniwersalnych nie oznacza jednak, iż wartości te w ogóle nie istnieją. Człowiek, zwłaszcza tzw. jednostka, kierująca się tylko własnym egoizmem, nie jest dla Sokratesa wystarczającą „miarą wszystkich rzeczy". Kryteria etycznej słuszności mogą być zatem przedmiotem wiedzy ogólnie obowiązującej *(episteme)*, niezależnej od zmieniających się okoliczności *(kairos)*, interesów i wynikających stąd poglądów bądź mniemań *(doxa)*. Ogólne obowiązywanie tej wiedzy nie zależy bowiem od tego, czy jest ona powszechnie i bez wysiłku dostępna. Wielu badaczy zorientowanych empirycznie dostrzega właśnie w tym twierdzeniu (nie zaś w zdaniu: „wiem, że nic nie wiem") filozoficzny charakter myśli Sokratesa.

W przeciwieństwie do „demokratycznego" relatywizmu sofistyki, związanego wszak z niebezpieczeństwem nihilizmu, filozofia utożsamiana jest w tych komentarzach z tzw. absolutyzmem wartości. Zgodnie z późniejszą, antydemokratyczną koncepcją Platona, wartości te miałyby być rozpoznawalne tylko przez jednostki wybitne. Zapomina się przy tym, iż platoński ideał mądrości filozoficznej, choć osłabiony osobistymi ambicjami politycznymi samego Platona, nie mógł oznaczać nieograniczonej wszechwiedzy wtajemniczonej elity władzy. Jednostką najwybitniejszą był bowiem dla Platona jego własny mistrz – Sokrates, który o wartościach uniwersalnych (i nie tylko o nich) nie wiedział nic poza tym, że istnieją, ciągle przywoływane w ludzkich sądach. Absolutyzm wartości nie ma nic wspólnego z absolutyzmem wiedzy na ich temat. Jakimże więc nadużyciem będzie, zapytać kogoś, kto z prawa i sprawiedliwości czyni hasła (instrumenty) walki politycznej - „co dokładnie rozumie on przez prawo i sprawiedliwość?". Tak postawionego pytania nie zakwestionuje żaden filozof. Rację będzie miał jednak sofista, jeśli w pytaniu tym dopatrzy się politycznej „głupoty" filozofa, który w swej „naiwności" dotyka niebezpiecznych dla niego problemów.

Jeśli Sokratesa określa się najczęściej jako twórcę filozofii praktycznej, to sofistom przypisuje się raczej rolę prekursorów nowożytnych nauk społecznych, określanych jako tzw. nauki pozytywne. Odrzucając wiedzę czysto pojęciową, akceptując zaś tylko wiedzę wywiedzioną z doświadczenia zmysłowego i z konstrukcji matematycznych, nauki te zdominowały dążenia poznawcze naszej współczesności, spychając filozofię poza margines tzw. wiedzy użytecznej. W tym, współczesnym kontekście naukowości pozytywistycznej, historyczne znaczenie sofistów wydaje się nawet bardziej doniosłe, niż filozoficzne osiągnięcia Sokratesa i jego następców. Podczas, gdy pozytywne nauki społeczne wyjaśniły już nie jeden fenomen życia ludzkiego, filozofom udało się ledwie postawić kilka pytań, na które nikt nie zna odpowiedzi. Istotą problemów filozoficznych jest bowiem ich nierozwiązywalność, co nie oznacza, iż problemy te są bezprzedmiotowe. Widać to zwłaszcza na gruncie filozofii prawa, państwa i polityki. Dopóki bowiem osoby publiczne, dla uzasadnienia własnych roszczeń do władzy, powoływać się będą na prawo, sprawiedliwość, uczciwość, patriotyzm, etos dobrego obywatela itp., sokratejskie pytania o definicje tych pojęć, o ich powszechnie wiążący sens, nie dadzą nam spokoju. A ponieważ pytania te nie dotyczą tylko filozofów, lecz wszystkich ludzi żyjących we wspólnotach zorganizowanych politycznie, nie można ich po prostu zignorować, powołując się na niemożność odnalezienia jednoznacznych na nie odpowiedzi. Problem nierozwiązywalny nie przestaje bowiem być problemem w momencie stwierdzenia jego nierozwiązywalności. Wręcz przeciwnie, dopiero filozoficzna świadomość wieloznaczności pojęć ogólnych, używanych w sądach wartościujących, nadaje im w pełni ludzki wymiar, nie tylko matematyczno-przyrodniczy, ale również duchowo-racjonalny.

Wydaje się, iż świadomość tę powinny posiadać zwłaszcza umysły przywiązane do myśli chrześcijańskiej, która wyklucza z rodzaju ludzkiego osoby bez grzechu. Właśnie na gruncie tej tradycji, nie będącej własnością żadnego narodu, a wyrosłej na posokratejskiej filozofii greckiej, nie można nie zgodzić się z twierdzeniem, że uczciwość możliwa jest tylko przy założeniu tzw. wolności moralnej każdej osoby ludzkiej. Sens uczciwości nie sprowadza się zatem do zgodności naszych uczynków z czyimś wyobrażeniem cnoty lecz wiąże się z wolnością wyboru w zgodzie z sądem własnego sumienia, którego nie można skolektywizować. Dlatego hasła moralne umieszczane na transparentach tzw. ruchów rewolucyjnych, proklamowane jako legitymacja władzy i jej rozkazów, ubieranych w formę prawa, bądź jako podstawa działalności „rewolucyjnych" organów ścigania, prowadziły z reguły do zniewolenia ludzkich sumień czyli do zaprzeczenia samej istoty moralności. A gdzie nie ma wolności moralnej, tam nie ma też prawa.

Wniosek ten można wyprowadzić z różnych źródeł racjonalistycznej filozofii prawa i moralności. Wśród nich odnajdziemy również myśl Sokratesa, w której szeroko pojęta wolności sumienia, jawi się jako konieczna przesłanka prawa słusznego. Głoszona przez niego zasada praworządności opierała się bowiem na pojęciu prawa jako dobrowolnego (a zatem wolnego np. od socjotechnicznych lub proceduralnych manipulacji) porozumienia wszystkich obywateli, traktowanych (niezależnie od ich faktycznego statusu społecznego) jako równowartościowe jednostki. Trudno wyobrazić sobie bardziej zdecydowane poparcie dla demokracji prawdziwej i prawej, w której zabezpieczeniem przed tyranią jest właśnie - gwarantowana ustawowo - obywatelska równowartościowość. Kto zatem różnicuje ludzką wspólnotę polityczną (obywatelską) w oparciu o generalizujące sądy moralne, ten przeczy samej istocie nowoczesnego państwa i prawa. Postawa taka nie znajdzie poparcia ani sofistów, ani filozofów. W przypadku tym nie chodzi jednak ani o nauczycieli, ani o miłośników mądrości, ani o oddanych służbie publicznej urzędników, lecz o miłujących władzę polityków. [ ]

Nie chcieli, ale musieli

Przymusowa straż pożarna w Czaplinku

zdjęcie pochodzi ze zbiorów Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Stargardzie Szczecińskim

Paweł Szulc
OBEP IPN Szczecin

Była to sytuacja niespotykana po II wojnie światowej na Pomorzu Zachodnim. Należało spełnić kilka warunków, w tym między innymi: mieć nie mniej niż 14 i nie więcej niż 60 lat, być zdrowym, nie być cudzoziemcem ani posłem na sejm, pracownikiem jakiegokolwiek urzędu państwowego czy nauczycielem... i już zostawało się strażakiem. W lipcu 1947 roku w Czaplinku nie miało znaczenia, czy chciało się wykonywać ten piękny, odpowiedzialny, ale i niebezpieczny zawód czy nie – władze wydały zarządzenie powołujące do życia Przymusową Straż Pożarną.

Historia powojenna tej niewielkiej miejscowości położnej we wschodniej części województwa zachodniopomorskiego nie odbiega w znaczący sposób od innych ośrodków na tym terenie. Czaplinek został zdobyty 3 marca 1945 roku. Pierwszymi Polakami, jacy tam zamieszkali byli, podobnie jak w innych miejscach Pomorza Zachodniego, robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni przetrzymywani w licznych obozach znajdujących się na tym terenie. Pierwsza grupa osadników, głównie pracowników rolnych, przybyła już w maju 1945 roku, ale tak naprawdę dopiero 12 lipca 1945 roku ze Skierniewic przybył pierwszy duży transport, w liczbie 800 osób. W dalszej kolejności Szczecinecki Oddział Obwodowy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego zaczął kierować do Czaplinka „repatriantów" zza Buga, z województw wileńskiego, nowogródzkiego i częściowo białostockiego. Jeszcze we wrześniu 1945 roku liczba Niemców przebywających w Czaplinku była dwa razy większa niż osiadłych tam Polaków, jednak już w lutym 1947 roku mieszkało ponad 3,5 tysiąca Polaków, Niemców pozostało natomiast zaledwie około 250.

Problemy, z jakimi borykali się osadnicy, były charakterystyczne dla całego regionu. Na porządku dziennym były napady, gwałty i morderstwa, czy szabrownictwo. Do tego należy dodać olbrzymie problemy aprowizacyjne i brak dosłownie wszystkiego, co potrzebne do życia, tj. maszyn, narzędzi, materiału siewnego. To powodowało, że życie w tym niewielkim miasteczku nie należało do łatwych.

Obok powołania różnych służb mundurowych, już od pierwszych dni pojawiła się konieczność zorganizowania straży pożarnej. Sytuacja nie była może tak dramatyczna jak na przykład w Szczecinie, gdzie w ciągu pierwszych czterech dni od powołania strażacy musieli gasić już 36 pożarów, jednak Czaplinek będący kilkutysięcznym miastem nie mógł się obejść bez strażaków. Jeszcze w 1945 roku powołano Ochotniczą Straż Pożarną. Ta jednak, prawdopodobnie z powodu częstego przemieszczania się ludności, nie sprawdziła się i 15 lipca 1947 roku Zarząd Miejski w Czaplinku zdecydował o powołaniu Przymusowej Straży Pożarnej. Podstawą prawną była ustawa z 18 maja 1934 roku o ochronie przed pożarami i innymi klęskami. Do pracy w służbie przeciwpożarowej, z pewnymi wyjątkami, zobowiązano wszystkich zdrowych mieszkańców miasta.

Do obowiązków świeżo upieczonych strażaków należało gaszenie pożarów w obrębie Czaplinka i najbliższej okolicy, uczestnictwo w organizowanych regularnie ćwiczeniach, a także udostępnianie prywatnych zaprzęgów konnych zarówno w czasie pożarów, jak i ćwiczeń strażackich. Ponadto osoby powyżej 60. roku życia i niezdolne do służby, a prowadzące działalność gospodarczą, musiały partycypować w kosztach utrzymania straży w Czaplinku. Ten sam obowiązek dotyczył banków, teatrów, kin i fabryk. Obowiązek bycia strażakiem nie ominął nawet kobiet, chyba, że były one ciężarne, karmiące lub po 40. roku życia. Analizując dostępne dziś wykazy osób powoływanych do Przymusowej Straży Pożarnej należy stwierdzić, że zapisu tego prawdopodobnie nie przestrzegano, ponieważ na żadnym wykazie nie znajdziemy nazwiska kobiety.

Można było uzyskać zwolnienie, a właściwie bardziej chyba wykupić się od tych obowiązków. Wystarczyło wpłacić do kasy Zarządu Miejskiego, jak to

określono, kwotę pieniężną odpowiadającą 7 dniówkom robocizny pieszej w stosunku rocznym. Równowartość dniówki ustalono na 100 złotych, a więc aby zwolnić się z czynnego udziału w pracach straży pożarnej, należało wpłacić 700 złotych rocznie. Za lekceważenie powyższych przepisów kary miały być surowe – grzywna do 10 tysięcy złotych, areszt do miesiąca lub obie te kary łącznie. Przywilej „wykupu" możliwy był tylko w przypadku, jeżeli do dyspozycji Przymusowej Straży Pożarnej powołana była wystarczająca ilość osób dla zapewnienia należytej ochrony przed pożarami. Z tym jednak od samego początku był niemały kłopot.

W pierwszym wezwaniu z 1 sierpnia 1947 roku do stawienia się na zbiórkę Straży wyznaczonych zostało 80 mężczyzn. Należy przypuszczać, że z tej liczby pojawiła się tylko część, bo już miesiąc później znaleźć możemy dokument z wnioskiem o skreślenie z listy strażaków ponad 20 osób i wymierzenie im stosownej kary. Następny wykaz, niestety bez daty, zawiera listę 50 osób, z czego kolejnych 20 jest na niej skreślonych. Co charakterystyczne, w rubryce „uwagi" wyczytać możemy, że z tej dwudziestki, tylko jeden zapłacił odpowiednią sumę, dwóch wyjechało z Czaplinka, a reszta... prawdopodobnie ignorowała narzucony im obowiązek. Nieliczni strażacy poczuwali się do obowiązku przybywania na ćwiczenia i wypełniania narzuconych im obowiązków. W protokołach z późniejszego okresu, już w pierwszych punktach poruszany był ten problem. Mowa jest o opieszałości strażaków, braku dyscypliny służbowej – nie było jednak sposobu na zmotywowanie ludzi, którzy mieli świadomość, że władza od nich oczekuje wiele, nie dając nic w zamian. Problemy kadrowe nie dotyczyły tylko szeregowych strażaków. Jednym z punktów zebrania na początku 1948 roku była sprawa Naczelnika Straży. Okazało się, że ów człowiek wybył z terenu miasta w niewiadomym kierunku – opuszczając samowolnie powierzone mu stanowisko, nie dopełniając obowiązku wymeldowania się w miejscowym Biurze Ewidencji Ludności.

Mimo tych problemów Przymusowa Straż Pożarna w Czaplinku działała. W listopadzie 1947 roku zapalił się dach biurowca Zakładów Energetycznych. Strażacy stawili się na miejscu, ale jak wynika z raportu pożarowego, kolejnym problemem, z jakim przyszło się im zmierzyć, był brak odpowiedniego sprzętu. Wszystko czym dysponowali to siekiery i wiadra, a mimo to uratowano sąsiedni dom, a także ten, który się palił, wyrąbując płonącą część dachu. Nie obeszło się jednak bez nieszczęśliwego wypadku – jak podkreślono w raporcie, jednemu ze strażaków w czasie akcji spaliły się spodnie.

Następna akcja, o której wiemy, miała miejsce w lipcu 1948 roku, kiedy to palił się dach w prywatnym gospodarstwie. Tym razem strażacy dysponowali już jedną motopompą, kilkoma drabinami i kilkunastoma wężami strażackimi. Pożar zdławiono, jednak i tym razem nie obeszło się bez strat. Obok uszkodzenia 4 węży tłocznych i 2 bosaków, jednemu ze strażaków spalił się cały mundur. Dwa dni później raport do Burmistrza Czaplinka donosił: [...] nie zważając na płomienie, a w obronie innych zagrożonych budynków spowodował spalenie własnego munduru wojskowego wartości około 10.000 zł. Można sądzić, że strata to była niemała, gdyż następne pisma, tym razem do Starostwa Powiatowego, kierowane były zżzapytaniami, w jaki sposób można zadośćuczynić nieszczęśliwemu strażakowi. Dopytywano się, czy możliwy jest zwrot poniesionych strat, chociażby w postaci nabycia po cenie ulgowej materiału na mundur dla poszkodowanego. Jaki był finał tej sprawy, tego z zachowanych dokumentów nie wiemy.

Strażacy obarczeni obowiązkami, a równocześnie narażeni na niebezpieczeństwo przy wykonywaniu swojej pracy, domagali się stosownych przywilejów. W tym samym czasie ich koledzy z innych miast pracujący zawodowo, oprócz pensji otrzymywali także comiesięczne dodatki ogniowe, dodatki rodzinne, a także należne im płatne urlopy wypoczynkowe. Czaplineccy strażacy monitowali do burmistrza Czaplinka, aby ten zwolnił ich od obowiązku odbywania szarwarku i zwolnił od naturalnych świadczeń drogowych. Ten jednak odpowiadał, że nie jest w stanie załatwić tych próśb przychylnie.

W ciekawy sposób dysponowano pieniędzmi. Na początku 1948 roku poinformowano strażaków, że z wpływów z opłat strażackich za 1947 rok do dyspozycji PSP w Czaplinku jest kwota 110 tysięcy złotych. Stwierdzając podczas tego samego zebrania, że bolączką strażaków jest brak odpowiedniej ilości węży (które nota bene skradł Naczelnik Straży i sprzedał straży pożarnej w pobliskim tartaku), postanowiono zorganizować orkiestrę strażacką i przeznaczyć zgromadzone pieniądze na zakup instrumentów muzycznych. Orkiestra powstała, ale już pół roku później i ona była powodem niezadowolenia niektórych strażaków, których do niej nie powołano. Rozgoryczenie strażaków było wynikiem postępowania kapelmistrza, który uważając tę orkiestrę za miejską, nie chciał się podporządkować Zarządowi Straży. Burmistrz tym razem stanął po stronie strażaków, wyjaśniając, że jest to jednostka Straży Ogniowej i w niedługim czasie powołani zostaną do niej strażacy.

W późniejszym okresie pieniądze musiały być wydawane w sposób bardziej rozważny, bo już w 1950 roku Przymusowa Straż Pożarna w Czaplinku zatrudniała 3 etatowych pracowników, miała na swoim stanie samochód ciężarowy, ręczne i mechaniczne pompy, a także kilkaset metrów węży strażackich. Już w tym czasie sytuacja w mieście normowała się coraz bardziej i rok później straż tę rozwiązano, powołując na jej miejsce ponownie Ochotniczą Straż Pożarną, która działa do dziś. [ ]

Trybunał Koronny I Rzeczypospolitej

dr Marek Tkaczuk
Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

Znaczącym momentem w okresie intensywnego modelowania ustroju I Rzeczypospolitej był rok 1578, w którym to obok elekcyjnego monarchy i dwuizbowego sejmu w systemie najwyższych podmiotów władzy pojawił się Trybunał Koronny. Powstanie tego sądu najwyższej instancji stanowiło poważne uszczuplenie władzy króla, bowiem wyjmowało z jego kompetencji władzę sądowniczą. Zasadniczym czynnikiem mającym wpływ na decyzję o powołaniu Trybunału była narastająca niewydolność sądu króla w rozpoznawaniu spraw wnoszonych przed jego oblicze w drodze ustanowionej w 1523 roku instytucji apelacji. Podejmowane przed 1578 rokiem próby rozładowania wieloletnich zaległości nie powiodły się. Działalność sądów wiecowych, którym w latach 1540 i 1553 powierzono zadanie rozpoznania spraw zawisłych przed sądem króla, nie przyniosła żadnej poprawy, przede wszystkim z tego powodu, iż od orzeczeń tych sądów można było wnieść do króla ponowną apelację. Także powołanie w 1563 roku w poszczególnych województwach sądów ostatniej instancji dla osądzenia zaległych spraw nie rozwiązało problemu, gdyż sądy te miały charakter incydentalny. Dopiero utrata przez króla władzy najwyższego sędziego i utworzenie stałego sądu najwyższej instancji doprowadziło do rozładowania napiętej sytuacji w wymiarze sprawiedliwości szesnastowiecznej Rzeczypospolitej.

Trybunał Koronny miał dwie siedziby. Wiosną i latem Trybunał rozpoznawał w Lublinie sprawy z terenu Małopolski, zaś jesienią i zimą funkcjonował w Piotrkowie, osądzając sprawy z terenu Wielkopolski. W skład Trybunału wchodziło 33 sędziów zwanych deputatami, 27 deputatów stanu szlacheckiego i 6 deputatów stanu duchownego. Deputatów Trybunału wyłaniano co roku w drodze wyborów przeprowadzanych na specjalnych zgromadzeniach wyborczych zwanych sejmikami deputackimi. Deputatów duchownych wybierały zaś instytucje kościelne. Po upływie kadencji możliwy był ponowny wybór danej osoby na członka Trybunału, warunkiem reelekcji był jednak upływ czteroletniego okresu pomiędzy kadencjami daputata. W 1590 roku liczbę deputatów Trybunału zwiększono do 59, z których 51 wybierano na sejmikach.

Na czele Trybunału stał obieralny marszałek, którego zadaniem było reprezentowanie Trybunału oraz organizowanie jego prac. W sprawach szlacheckich orzekali wyłącznie deputaci szlacheccy. Skład mieszany obejmujący deputatów świeckich i duchownych rozpoznawał sprawy, w których jedną ze stron był duchowny lub przedmiotem sporu było mienie kościelne. Skład mieszany był także właściwy do rozpoznawania spraw wchodzących do tzw. „regestru ariańskiego", spraw związanych z oskarżeniami o wyznawanie zakazanej religii ariańskiej. Przy Trybunale działało czterech instygatorów sądowych. Dwóch z nich, jako tak zwani *instigatores securitatis*, zapewniało bezpieczeństwo i porządek w Trybunale, zaś dwóch pozostałych ściągało opłaty i grzywny sądowe. Ci ostatni zwani byli instygatorami skrzynkowymi. Przed Trybunałem czynności zastępstwa prawnego w imieniu króla prowadzili instygatorzy koronni, którzy m.in. dochodzili zapłaty dzierżawy królewszczyzn lub kar za defraudację dochodów państwa.

Trybunał Koronny był przede wszystkim sądem właściwym do rozpoznawania w ostatniej instancji środków odwoławczych od wyroków sądów ziemskich, grodzkich i podkomorskich wydawanych zarówno w sprawach karnych jak i cywilnych. Orzeczenia Trybunału z zasady miały być podejmowane jednomyślnie. W sytuacji braku jednomyślności w pierwszych dwóch głosowaniach nad wyrokiem, w trzecim głosowaniu przyjmowano wyrok większością głosów. Z powodu rozpoznawania niektórych spraw w kompletach złożonych z parzystej liczy sędziów nierzadkie były przypadki, że z powodu równego rozłożenia głosów w Trybunale danej sprawy nie rozstrzygnięto. Konsekwencją takiego stanu rzeczy było przekazanie jej do rozstrzygnięcia sądowi sejmowemu. Trybunał Koronny w XVII wieku stał się też sądem pierwszej instancji, co miało istotny wpływ na efektywność orzeczniczej działalności. Na obniżenie autorytetu Trybunału niekorzystnie działała także zasada wyboru sędziów. Niekompetentni, o niskich kwalifikacjach prawniczych i moralnych, uzależnieni od wyborców sędziowie stawali się „pionkami" w grach różnych grup magnackich, wykorzystujących Trybunał do realizowania własnych, prywatnych interesów. Nie przyniosły pożądanych rezultatów liczne reformy Trybunału Koronnego, łącznie z tzw. wielką korekturą Trybunału Koronnego z 1726 r. Konstytucja 3 Maja z 1791 r. zachowała jednak Trybunał Koronny. W art. VIII Konstytucji potwierdzono istnienie sądów ostatniej instancji powołanych w każdej prowincji Rzeczypospolitej, czyli w Koronie i w Wielkim Księstwie Litewskim jako tzw. trybunałów głównych. Konstytucja statuowała też sąd najwyższy, którym miał być sejm. Do właściwości tego sądu należeć miały *crimina status*, przestępstwa przeciwko narodowi i królowi. Sejm w pierwszych miesiącach 1792 r. podjął się zreformowania Trybunału, jednak rychły upadek Rzeczypospolitej zakończył jego istnienie.

Trybunał Koronny nie był jedynym sądem najwyższej instancji w Rzeczypospolitej. W 1581 roku ustanowiono Trybunał Litewski, który był właściwy dla obszaru Wielkiego Księstwa Litewskiego. W Radomiu orzekał zaś Trybunał Skarbowy.

Powołanie w ustroju Rzeczypospolitej Trybunałów i ich ponad dwuwiekowa działalność stanowi ważny etap na drodze formowania się sądownictwa w odrębną władzę państwową, warunek *sine que non* bezpieczeństwa wolności. [ ]

Brak wieku jako przeszkoda do zawarcia związku małżeńskiego

[Ks. dr Janusz Posadzy]

W Kodeksie Prawa Kanonicznego tylko w jednym przypadku mówi się o „katalogu przeszkód", który zawiera w swojej treści spis rozrywających przeszkód małżeńskich. Kodeks wyraźnie wskazuje na dwanaście przeszkód, które sprawiają, iż o ile któryś z nupturientów dotknięty jest tą przeszkodą, zawiera małżeństwo w rozumieniu prawa kanonicznego jako nieważne. Wśród tych dwunastu przeszkód rozrywających ważność sakramentalnego małżeństwa są takie, które pochodzą z przepisów pochodzenia prawa kościelnego (te przeszkody w zasadzie mogą być dyspensowane przez kompetentną władzę kościelną, tzn. w uzasadnionych przypadkach i po spełnieniu prawem określonych warunków nupturienci otrzymują zgodę na zwarcie związku małżeńskiego). Istnieją jednakże przeszkody, które w żadnym wypadku nie zezwalają i nie może być odstępstw od tego prawa, gdyż opierają się te przepisy na prawie bożym.

W kolejnych artykułach zostaną przedstawione przeszkody, które powodują nieważność umowy małżeńskiej w rozumieniu przepisów prawa kanonicznego i w pewnym zakresie zostanie ta problematyka omówiona. Kilka przeszkód kanonicznych pokrywa się co do istoty z przepisami prawa cywilnego, reszta jednak stanowi zupełnie nowy obszar stosowania prawa, w tym przypadku prawa kościelnego, gdyż dotyczy konsekwencji prawnych, takich np. decyzji, jak przyjęcie święceń kapłańskich czy złożenie publicznego ślubu wieczystego.

Prawodawca w kan. 1083 § 1 jasno określił, iż nie może ważnie zawrzeć sakramentalnego małżeństwa mężczyzna przed ukończeniem szesnastego roku życia i kobieta przed ukończeniem czternastego roku. Jest to dyspozycja prawna posiadająca swoje źródło w przekonaniu Kościoła, iż należy ustanowić granice wieku nupurientów, aby mieć tym samym pewność, że są świadomi, jaki sakrament przyjmują i do spełnienia jakich obowiązków są przygotowani. Wyznaczenie granicy wieku jest także nawiązaniem do wielkiego dziedzictwa prawa rzymskiego, które pozwalało na zawarcie małżeństwa osobom dojrzałym fizycznie, uznając przy tym, że takową dojrzałość kobieta osiąga w wieku dwunastu lat, a mężczyzna po ukończeniu czternastego roku. Należy jednakże podkreślić, że Kodeks Prawa Kanonicznego obowiązuje w całym Kościele Powszechnym i być może określona przez kodeks granica wieku dla mężczyzny i kobiety wydaje nam się za niska. Bo jakże wyobrazić sobie w sytuacji europejskiej szesnastolatka, który ukończył przed paroma dniami szkołę średnią, a już pragnie zawrzeć sakramentalne małżeństwo z poważnymi konsekwencjami nie tylko prawnymi, ale i społecznymi. Istnieją jednak społeczności, w których czternastolatka wychodzi za mąż. Prawodawca zastrzegł, iż Konferencja Episkopatu danego kraju może ustalić wyższy wiek do godziwego zawarcia małżeństwa. Konferencja Biskupów, ustanawiając wiek do godziwego zawarcia małżeństwa, kieruje się przede wszystkim zwyczajem miejscowym, jeśli tenże zwyczaj podnosi granicę wieku do ślubu. Wykładnikiem zwyczajów miejscowych w tej dziedzinie są na ogół przepisy ustawy państwowej.

W Polsce do roku 1998 sprawę granicy wieku nupturientów pragnących zawrzeć sakramentalne małżeństwo – zgodnie z Kodeksem Rodzinnym i Opiekuńczym z 1964 roku - ustalono na dwadzieścia jeden lat dla mężczyzny i osiemnaście dla kobiety. Zgodnie z ówczesnymi przepisami państwowymi, które nakazywały wcześniejsze zawieranie kontraktów cywilnych, mężczyzna i kobieta musieli spełniać kryterium wieku określone przez Kodeks Rodzinny i Opiekuńczy. W sytuacjach wyjątkowych (najczęściej była to ciąża) sąd opiekuńczy mógł zezwolić na zawarcie związku małżeńskiego mężczyźnie, który ukończył osiemnaście lat i kobiecie po ukończeniu szesnastu lat. Po nowelizacji Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego i uzgodnieniu z Konferencją Episkopatu Polski ustalono, iż ważnie zawierają sakramentalne małżeństwo nupturienci, którzy ukończyli osiemnaście lat życia. Utrzymano jednocześnie przepis, że za zgodą sądu opiekuńczego kobieta, która ukończyła szesnasty rok życia, może zawrzeć związek małżeński (art. 1 pkt 11 ustawy z dnia 24.07.1998).

Jak więc rozumieć przeszkodę wieku w przepisach prawa kanonicznego? Dlaczego nazywa się przeszkodę wieku tzw. „przeszkodą rozrywającą"?

Intencją prawodawcy kościelnego jest, aby zbyt młodzi ludzie nie zawierali małżeńskich związków sakramentalnych. Kodeks Prawa Kanonicznego wyraźnie nakazuje duszpasterzom, aby odwodzili od zawierania małżeństwa młodzież przed osiągnięciem wieku, w którym zgodnie z przyjętym zwyczajem zawiera się małżeństwo (kan. 1072). Nakaz ten wypływa z troski nie tylko o zachowanie dobra sakramentu,

ale przede wszystkim ma uchronić młodych ludzi przed zbyt pochopnymi decyzjami, które podejmują bardzo często pod wpływem impulsu bądź w wyniku delikatnej - ale jakże często skutecznej - presji rodziców czy otoczenia, aby zawrzeć taki związek małżeński. Często młody człowiek stając przed rzeczywistością zawarcia związku małżeńskiego zbyt idealistycznie i lekkomyślnie rozumie cele i zadania małżeńskie, jakie na siebie przyjmuje. Jak uczy doświadczenie, małżeństwa zawarte zbyt wcześnie, są szczególnie podatne na rozbicie. Stąd takie ograniczenie w postaci granicy wieku, które pohamować ma przed zawieraniem małżeństwa w zbyt młodym wieku.

Przeszkodę wieku nazywa się „rozrywającą", gdyż sakrament małżeństwa zawarty przez nieletniego bez wyraźnej zgody kompetentnej władzy kościelnej jest nieważny z samej istoty. Teoretycznie można założyć, że nieletni może posłużyć się podrobionymi dokumentami (w obecnym stanie rzeczy przy zawieraniu małżeństw tzw. „konkordatowych" jest to praktycznie niemożliwe), na podstawie których podstępnie „zawiera" związek małżeński. Słowo „zawiera" celowo zostało umieszczone w cudzysłowie, gdyż faktycznie żadne małżeństwo nie zostaje zawarte. Od samego początku (nawet przy najczulej wypowiadanej formule konsensusu małżeńskiego) nie było ważnie zawarte. Istotnym jest także fakt, że małżeństwo nieważne z powodu braku przepisanego wieku u jednej ze stron, nie staje się ważne z chwilą dojścia strony do wymaganego przepisami prawa kanonicznego wieku. Prawodawca w takich wypadkach przewidział dwie możliwości, które sprawić mogą, iż małżeństwo zostanie uważnione. Pierwszą i najczęściej stosowaną jest ponowne wyrażenie zgody małżeńskiej zgodnie z przepisami prawa; drugą jest uzdrowienie małżeństwa w zawiązku (o tej formie konwalidacji małżeństwa na pewno w niedalekiej przyszłości powstanie artykuł).

Zgodnie z przepisami prawa kanonicznego w przypadku zaistnienia przeszkody wieku w procesie orzeczenia nieważności małżeństwa czynności procesowe sądu kościelnego ograniczają się do orzeczenia tejże nieważności. W praktyce sąd stwierdza, czy w momencie zawierania sakramentalnego związku małżeńskiego któraś ze stron była dotknięta przeszkodą wieku. Zadaniem sądu jest także stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość, czy małżeństwo nie zostało konwalidowane przez kompetentną władzę kościelną lub, czy nie została udzielona dyspensa od przeszkody wieku. [ ]

Prowadzenie spraw o uzyskanie alimentów od zobowiązanych przebywających za granicą było najtrudniejszym zadaniem w Oddziale Administracyjnym Sądu Wojewódzkiego, wymagającym obsługi przez osoby o wysokich kwalifikacjach, przy pomocy i pod stałym nadzorem doświadczonego sędziego, najlepiej specjalisty od spraw rodzinnych i nieletnich. W poprzednich odcinkach („Kozioł ofiarny", „Ktoś za to beknie", „Śpiesz się powoli") zwróciłem uwagę na kłopoty i problemy, występujące szczególnie na przestrzeni blisko 14 lat (1983-1997) w zapewnieniu właściwej obsady na tym odcinku. Jeden z warunków poprawy został spełniony, gdy w 1997 r. pracę w oddziale rozpoczęła mgr prawa Jolanta Gruszczyńska. W marcu 1998 r. prezesurę Sądu Wojewódzkiego po Henryku Romanowskim przejął Grzegorz Chojnowski. Na wniosek prezesa Chojnowskiego Minister Sprawiedliwości powołał sędziego p. Alicję Grześkowiak na stanowisko Wiceprezesa Sądu Wojewódzkiego. Pani wiceprezes, której podlegał pion cywilny, podpisywała całość przygotowywanej przez oddział korespondencji z zakresu obrotu prawnego z zagranicą, sprawując zarazem kontrolę naszej pracy. Nie potrzebowałem wiele czasu, aby utwierdzić się w przekonaniu, że od dwóch swoich poprzedników różniła się zdecydowanie. Dostrzegała występujące w obrocie prawnym problemy, doceniała nasze kwalifikacje i zaangażowanie. W razie wątpliwości, których w obrocie nie brakowało, omawiała problem z referentem lub zarządzała sporządzenie projektu pisma przez sędziego-wizytatora ds. rodzinnych i nieletnich p. Irenę Porzezińską. Teraz już nie czuliśmy się osamotnieni w swoich poczynaniach. Nieporównywalne były także cechy charakteru p. wiceprezes. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek „nie miała czasu" na omówienie trudnych problemów, a z Jej twarzy, ozdobionej zawsze przyjaznym uśmiechem, promieniowała spontaniczna szczerość. Te cechy p. wiceprezes sprawiały, że podwładni opuszczali gabinet przełożonej bez stresów. Porównując p. wiceprezes z prezesem Chojnowskim, doszedłem do istotnego spostrzeżenia, że właściwie trudno doszukać się między nimi znaczących różnic: ta sama szczerość, przyjazny uśmiech, życzliwość. W stosunkach służbowych takie cechy charakteru objawiały się nieczęsto. Mieliśmy okazję doświadczyć tego osobiście i było to dla nas bodźcem do jeszcze lepszej pracy. Po tak miłym dla nas akcencie czas kontynuować temat obrotu zagranicznego.

Wnioski alimentacyjne przekazywane były organom zagranicznym głównie na podstawie Konwencji o dochodzeniu roszczeń alimentacyjnych za granicą sporządzonej w Nowym Jorku 20.06.1956 r. Konwencję tę ratyfikowało, obok Polski, blisko 60 państw. Korzystaliśmy także z trybu przewidzianego w umowach dwustronnych oraz w zasadach wzajemności (np. USA, Kanada). W sytuacji, gdy zobowiązany przebywał w państwie, które było zarówno stroną Konwencji Nowojorskiej jak i umowy dwustronnej-Ministerstwo Sprawiedliwości zalecało przekazywać wnioski w trybie konwencji, jako korzystniejszym dla osób uprawnionych.

Skuteczność postępowania przed organami zagranicznymi w zakresie ściągalności alimentów była różna. Wieloletnia praktyka wskazuje, że pod tym względem najwyżej ocenić można organ Republiki Federalnej Niemiec-Federalny Urząd Administracji (Bundesverwaltungsamt), do którego przekazywaliśmy ponad 60% wniosków okręgu szczecińskiego. Ta „dobra" ocena wynika jedynie z porównania „skuteczności"

PACTA SUNT SERVANDA – po niemiecku

[Remigiusz Hyży]

organów innych państw. Znana skądinąd niemiecka dokładność i solidność - w tym przypadku nie mogła zadowolić naszych oczekiwań. Oto kilka przykładów potwierdzających tę opinię. W 1984 r. strona niemiecka oświadczyła, że wobec niezagwarantowania wzajemności, zawiesza wykonywanie wniosków alimentacyjnych nadsyłanych w trybie Konwencji Nowojorskiej. Znamienny okazał się fakt, że Niemcy Konwencji Nowojorskiej nie wypowiedzieli, a zatem jej postanowienia nadal ich obowiązywały. W tej sytuacji Ministerstwo Sprawiedliwości poleciło prezesom sądów wojewódzkich jako organom przesyłającym w Polsce, kierować wnioski do wskazanego organu niemieckiego, tak jak dotychczas. Dopiero w sierpniu 1989 r. po „bratnim" uścisku Mazowieckiego z Kohlem („Znak Pojednania") nastąpiło ocieplenie stosunków między obydwoma państwami. W konsekwencji tego zdarzenia, w 1990 r. przywrócony został także obrót prawny, a w dniu 14 grudnia 1992 r. podpisano w Warszawie Układ między Rządem RP a Rządem RFN o dalszym ułatwieniu obrotu prawnego na podstawie Konwencji Haskiej 1.03.1954 r. dotyczącej procedury cywilnej. Po tych uregulowaniach obie strony zobowiązane były do stosowania w korespondencji prawidłowej pisowni nazw organów i miejscowości strony przeciwnej. I tak we wnioskach i pismach skierowanych do RFN sądy polskie winny wymieniać organy i miejscowości RFN wyłącznie w brzmieniu niemieckim (np. Amtsgericht Köln, a nie Sąd Grodzki w Kolonii), a sądy RFN w korespondencji kierowanej do Polski-wymieniać organy i miejscowości polskie wyłącznie w brzmieniu polskim (np. Sąd Rejonowy Gryfice, a nie Amtsgericht Greifenberg).

Sądy polskie wywiązywały się z tego zobowiązania bez zastrzeżeń, natomiast strona niemiecka po raz drugi zignorowała zasadę „pacta sunt servanda".

W wielu sprawach Federalny Urząd Administracji informował, że roszczenia z tytułu odsetek od zaległych rat alimentacyjnych nie będą realizowane, nie wskazując jednak na podstawę prawną swego stanowiska, które tym bardziej było niezrozumiałe, że w sprawach tych wyroki sądu polskiego (zasądzające odsetki) uznane zostały przez sądy niemieckie za wykonalne na terenie RFN.

Umów nie dotrzymywały także organy przyjmujące Algierii (Konwencja Nowojorska i umowa dwustronna) oraz Kuby (umowa dwustronna). Banki wymienionych państw nie zezwalały na transfer alimentów, a ponadto Kuba, wbrew ustaleniom umowy dwustronnej, odmawiała wykonania wniosków o doręczenie, jeżeli nie dołączono tłumaczenia dokumentów na język hiszpański. Organ Hiszpanii uzależniał nadanie biegu wnioskowi od dopełnienia obowiązku legalizacji dokumentów, co było bardzo czasochłonne i kosztowne. Z kolei Grecy odmawiali przyjmowania wniosków, jeżeli wierzyciel nie wskazał konkretnego adresu dłużnika, podczas gdy według postanowień Konwencji Nowojorskiej-wierzyciel winien wskazać adres, jeżeli był mu znany. Organy większości pozostałych państw, dysponując tylko informacją, że zobowiązany do ich kraju wyemigrował - z urzędu przeprowadzały dochodzenie dla ustalenia adresu dłużnika i podjęcia czynności zmierzających do wyegzekwowania alimentów. Warto przy okazji zwrócić uwagę na prawo panujące w tym zakresie w niektórych krajach arabskich, np. w Libii. Zgodnie z art. 11 umowy między Polską a Libią, zawartej w Trypolisie 2.12.1985 r. - pomoc prawna nie będzie świadczona, jeżeli byłoby to sprzeczne z podstawowymi zasadami prawa strony wezwanej. Natomiast zgodnie z muzułmańskim koranicznym prawem szariatu obowiązującym w Libii - stosunki pozamałżeńskie są zakazane, a odpowiedzialność, i to karną, za urodzenie dziecka pozamałżeńskiego ponosi kobieta. Ponadto prawo to nie przewiduje postępowania o ustalenie ojcostwa i roszczeń z tym związanych. W takim przypadku wnioski sądów polskich o doręczenie dokumentów pozwanemu zamieszkałemu w Libii nie są wykonywane. Amatorka kontaktów z obywatelem tego kraju, grzesząc nadmiarem lekkomyślności, mogłaby znaleźć się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Ale nie ma rady na to, gdy - jak mówił w wierszyku o Jasiu i Zosi Jakub Jasiński: „zachciało się Zosi jagódek". Organy niektórych państw nadmiernie sformalizowały postępowanie, uzależniając nadanie biegu wnioskom od nadsyłania przez uprawnionych dodatkowo wielostronicowych kwestionariuszy (Austria, Australia, RFN, Szwecja), co nie korespondowało z naczelną zasadą Konwencji Nowojorskiej, wyrażoną w art. 1 ust. 1, który brzmi: „Celem niniejszej Konwencji jest ułatwienie dochodzenia roszczenia alimentacyjnego".

W rozpatrywanych sprawach sądy zagraniczne nieraz dość swoiście oceniały potrzeby i zasadność roszczeń dzieci polskich: np. sędzia pokoju w Sydney (Australia) odmówił uznania wyroku sądu polskiego zasądzającego alimenty na rzecz uprawnionego, uczącego się na studiach stacjonarnych. Organ przyjmujący wniosek w Australii informując o tej odmowie, nadmienił tylko, że sędzia wprawdzie przyznał, że syn zobowiązanego jest w potrzebie, ale jako pełnoletni już młodzieniec, winien podjąć pracę i przyczyniać się w ten sposób do swego utrzymania. Natomiast Sąd Londynu Zachodniego zasądził alimenty na rzecz 12-letniego dziecka w wysokości 10 funtów tygodniowo, podczas gdy spawacz w Anglii zarabia 12 funtów za godzinę pracy. Aż język swędzi, aby autorom takich rozstrzygnięć puścić wiązkę z przysłowiowej „grubej rury", ale wystarczy chyba powtórzyć za Onufrym Zagłobą: „Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz!". [ ]

W związku z niewybrednymi atakami *na wymiar sprawiedliwości przedstawicieli rządowej koalicji przekazuję swojej uwagi w tej istotnej dla całego środowiska prawniczego kwestii. Wystąpienia polityków i posłów dotyczące obowiązujących przepisów prawa, praktyki sądowej i organizacji zawodów prawnych zawierają szkodliwe i krzywdzące pomówienia niemal wszystkich prawniczych grup zawodowych o ich związki z postkomunistycznym układem, korupcję, ignorancję oraz nieuczciwość. Takie hasła powtarzają politycy, „zagrożeni" dziennikarze, także wierni czytelnicy, którzy swoje uwagi prezentują na użyczonych im łamach prasy. Bezdyskusyjne jest prawo do krytyki postępowań prokuratorskich, postępowań sądowych, błędnych decyzji i orzeczeń, a także do rzeczowej krytyki zachowań przedstawicieli wszystkich zawodów prawniczych (prokuratorów, sędziów, notariuszy, adwokatów, radców prawnych, komorników i funkcjonariuszy służb więziennych).*

Nie oznacza to zgody *na oczywiste pomówienia, kłamstwa i insynuacje, albowiem prowadzi do niszczenia i tak już kruchego autorytetu władzy sądowniczej i podważania samej konstytucji.*

Zdaję sobie sprawę, *że bardzo trudna jest zmiana języka ludzi władzy, którzy często bezkarnie powtarzają niesprawdzone wieści, zwykle pod adresem przeciwników politycznych. Takich przykładów można cytować bez liku. Mój postulat dotyczy jednak relacji obywatele – władza i bardzo powszechnej praktyki pomawiania przez strony w oficjalnych pismach organów władzy i ich przedstawicieli o nieuczciwość, ignorancję (głupotę) oraz związki z systemem komunistycznym, czyli PRL-em. Mam prawo domagać się, nawet żądać, aby pomawiany w obraźliwej formie – organ władzy czy jego przedstawiciel, zwrócił takie pismo nadawcy z pouczeniem, że nie może być ono rozpatrzone z uwagi na niedopuszczalną formę. Szeroką strugą płyną skargi, pisma, wnioski o wznowienie postępowań, zażalenia, apelacje, sprzeciwy itp., które na wstępie zawierają krótki panegiryk na cześć wspaniałej nowej władzy (ministra). Następnie surową krytykę wydającego decyzję – orzeczenie komucha, który poza tym, że jest ignorantem lub zwykłym głupcem, jest oczywiście nieuczciwy, pazerny i skorumpowany. Po takim wstępie najkrótsza już część pisma zawiera jakieś zarzuty dalekie od ustawowych wymagań. Takie pisma piszą osoby fizyczne, przedstawiciele organizacji, stowarzyszeń, związkowcy, Zarządy i Rady Nadzorcze Spółdzielni i Wspólnot Mieszkaniowych, a także posłowie i senatorowie w imieniu swoich wyborców. Tak opisany organ musi się pochylić nad „ofiarą" doświadczoną dziwnym prawem czy sprawiedliwością – pomóc jej i szczegółowo odpowiedzieć na wszystkie opisane uchybienia czy błędy i wytknąć je na użytek dalszego postępowania. Większość takich pism zgodnie z zasadą legalizmu powinna skutkować wszczęciem postępowania karnego przeciwko autorowi. Pozostawiam ten problem na marginesie, gdyż nie stać naszego wymiaru sprawiedliwości na ściganie wszystkich sprawców tego rodzaju przestępstw. Pamiętać również należy, że niektóre osoby piastujące najwyższe godności w naszym państwie, pomimo ukarania za tego rodzaju czyny, występują nadal w charakterze mentorów. No cóż, takie mamy prawo i taką sprawiedliwość. Przypominam, że ryba psuje się od głowy i jest to proces nieodwracalny. Pocieszam się jednak, że ta głowa w naszym kraju się zmieni. Odejdzie kolejny prezydent, rząd, odejdą posłowie, którym prędzej czy później podziękują ich wyborcy. Tego uczy nas wszystkich historia i jest to przestroga dla rządzących. Wychowujemy więc chociaż zwykłych obywateli powtarzając, że wymiarowi sprawiedliwości i jego przedstawicielom należy się szacunek. Pismo skierowane do władzy może mieć ostrą formę, powinno zawierać rzeczową krytykę, może domagać się wskazania ustaleń, oceny dowodów, opisu kwalifikacji prawnej, jednak nie zwalnia to autora od zachowania właściwej formy. Jeżeli autor pisma zarzuca, że organ władzy lub jego przedstawiciele popełnili przestępstwo, to musi mieć odwagę zgłosić to w prokuraturze. Takie są powszechnie obowiązujące regulacje prawne. Natomiast pismo procesowe zawierające treści obraźliwe czy pomówienia powinno być zwrócone nadawcy z właściwym pouczeniem. Wymaga tego kultura i szacunek dla organów władzy. Smutne to, że rządzący nagminnie pomawiają i poniżają rzesze uczciwych i rzetelnych prawników mając za nic „prawo i sprawiedliwość".*

KARA

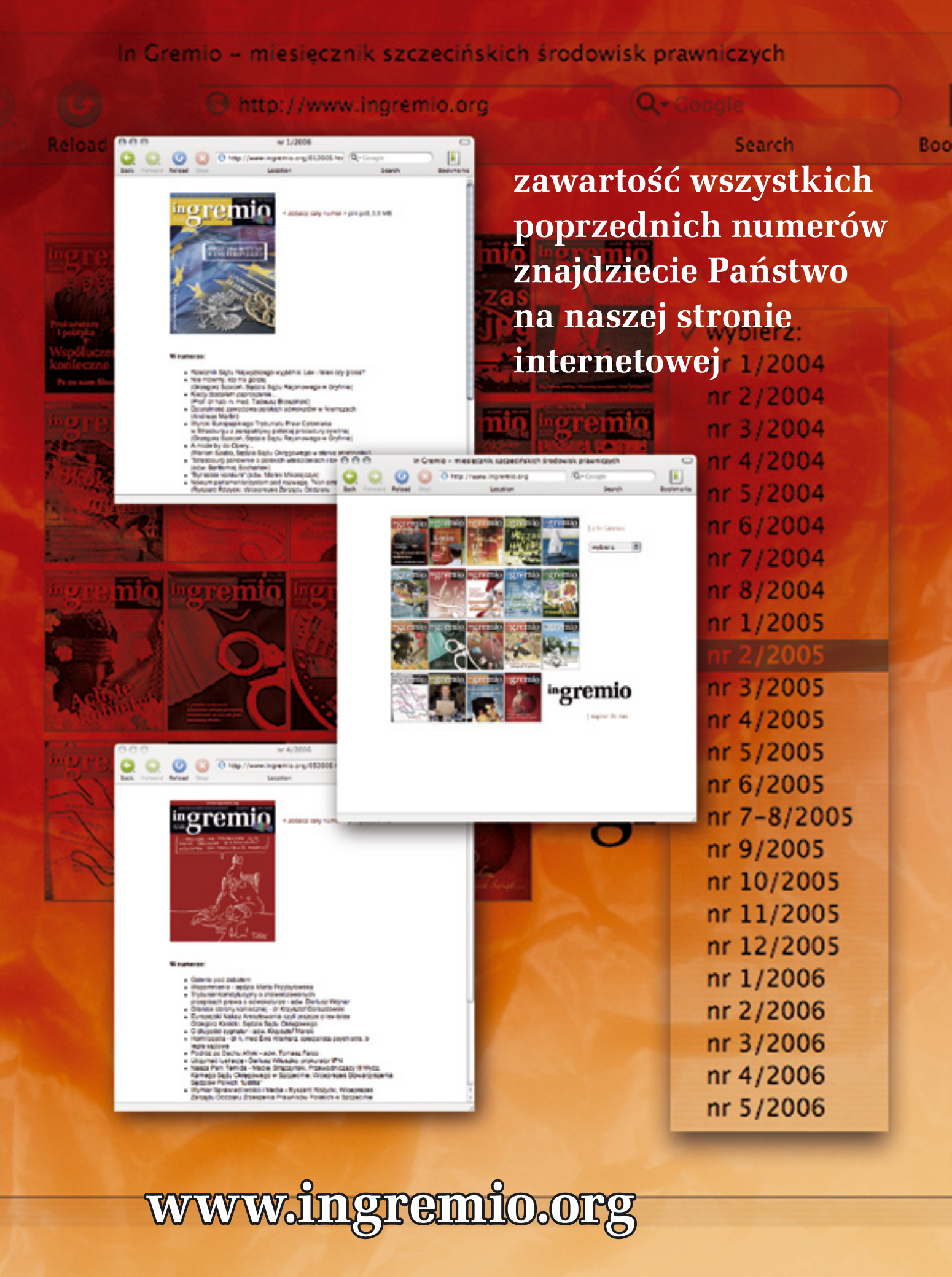
In Gremio – miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych
http://www.ingremio.org
Reload
Search
zawartość wszystkich
poprzednich numerów
znajdziecie Państwo
na naszej stronie
internetowej
wybierz:
nr 1/2004
nr 2/2004
nr 3/2004
nr 4/2004
nr 5/2004
nr 6/2004
nr 7/2004
nr 8/2004
nr 1/2005
nr 2/2005
nr 3/2005
nr 4/2005
nr 5/2005
nr 6/2005
nr 7-8/2005
nr 9/2005
nr 10/2005
nr 11/2005
nr 12/2005
nr 1/2006
nr 2/2006
nr 3/2006
nr 4/2006
nr 5/2006
www.ingremio.org

A może tak na ryby...

Mamy lato! No właśnie, i co z nim zrobić? To pytanie powraca co roku i mnie też nie jest obce (chociaż ja stanowczo wolę wiosnę, za którą nieustannie tęsknię). Chciałoby się czegoś nowego, oryginalnego i przyjemnego oczywiście. Jeden z moich kolegów (Zdziwieni? Tak, mam kolegów.) zachęcał mnie do wędkowania. Im dłużej słuchałem jego opowieści o zaletach tego sportu i sposobach na osiągnięcie w nim sukcesów, tym bardziej upewniałem się, że ja to skądś znam...

Zasadnicze znaczenie dla powodzenia wyprawy wędkarskiej ma ustalenie, gdzie biorą. Moczykije niechętnie dzielą się tą wiedzą. Trzeba sporo zabiegów i talentów dyplomatycznych, aby wyciągnąć tę tajemnicę, a i tak nigdy nie ma pewności, że powiedziano nam prawdę. No, ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Najlepiej więc zdać się na siebie i własną intuicję. Przy wyborze miejsca należy kierować się kilkoma sprawdzonymi zasadami. Przed właściwą wyprawą musimy sprawdzić, czy na wybranym miejscu nie łowi lub nie nęci ktoś inny. Pamiętajcie, najlepsze brania trafiają się w okresie przed burzą, kiedy nadciągają ciemne chmury i robi się gorąco. Kiedy to będzie, dowiemy się z gazet. Łowisko musi znajdować się w ustronnym miejscu, tak, aby nikt nie zauważył, na co łowimy i jak wygląda branie, a przede wszystkim, na jaką rybę się zasadziliśmy. W miejscach, gdzie kręcą się postronni albo inni wędkarze, branie jest mało prawdopodobne, trudno złapać nawet płotkę. Kiedy już zdecydowaliśmy, przygotowujemy się do wyprawy. Kompletujemy sprzęt. Zasadnicze znaczenie dla osiągnięcia zaplanowanych wyników mają haki (na drobnicę wystarczą haczyki), zanęta, przynęta i podbierak. Wizytę na łowisku zaczynamy od nęcenia. Niektóre, szczególnie grube ryby, wymagają nęcenie przyzwyczajającego, trwającego niekiedy wiele dni, a nawet tygodni. Zanętę sypiemy pełnymi garściami i czekamy na reakcję. Nęcenie wbrew pozorom nie jest proste. Trzeba uważać, aby nie przekarmić, bo wtedy ostateczne branie jest wątpliwe. Ważny jest też wybór zanęty, zdarza się, że te, które skutkują na jedne, odstraszają inne ryby. Po zakończeniu nęcenia zarzucamy wędkę. Obecnie najczęściej stosowaną przynętą jest znowu czerwony robak. Można śmiało powiedzieć, że przeżywa on prawdziwy renesans. Z tego co widać i słychać nie jest on tym zachwycony. No, ale nie o niego przecież chodzi. Czerwonego odpowiednio obciążamy i nabijamy na hak adekwatny do jego wielkości. Trzeba to robić umiejętnie, tak aby go natychmiast nie zabić, musi pozostać nie tylko żywy, ale i żwawy, przynajmniej przez jakiś czas. Kiedy straci te przymioty, sięgamy po prostu po następnego. Zestaw hak i czerwony robak stanowią dziś jedność. Słychać co prawda tu i ówdzie, aby dać już spokój z tym czerwonym robakiem, bo przy takim zapotrzebowaniu wkrótce może ich zabraknąć, i co wtedy? Zwolennicy panującego trendu są jednak nieprzejednani, twierdzą, że miejsce czerwonego jest wyłącznie na haku (haczyku), a gdy zabraknie czerwonych, sięgnie się po różowych i białych, o czarnych nie słychać – na razie. Możliwe jest także łowienie na inne przynęty. Korzystają z nich najczęściej panie, wędkując na ciasto lub na ulubiony przez nie błysk i podryw(kę).

Kiedy już zarzuciliśmy, spokojnie czekamy na ten upragniony moment, kiedy będzie branie. Brania są bardzo różne – nieraz gwałtowne, częściej jednak jest to cykanie, prowadzanie, obwąchiwanie przynęty, delikatne szczypanie... niby bierze, ale się waha. Pewne brania to rzadkość – my czekamy. Jedną z najtrudniejszych umiejętności jest rozpoznanie momentu, kiedy zaciąć. Najczęstszym błędem początkujących jest zbyt szybkie zacięcie, które kończy się tym, że nie ma ani ryby, ani przynęty. Trzeba też rozpoznać branie od harców drobnicy, która chętnie chciałaby się pożywić na tak zwany krzywy pysk. Te błędy powodują konieczność rozpoczynania wszystkiego od początku z jeszcze większym mozołem, bo ryba jest spłoszona i do tego pewnie boleśnie ukłuta. Gdy zacięliśmy skutecznie, to spokojnie holujemy zdobycz do siebie, myk do podbieraka i wreszcie mamy ją w siatce. Wtedy wypowiadamy nasze trzy żądania. Obiecujemy oczywiście uwolnienie ryby po ich spełnieniu. Gdyby jednak ona/on wzięli te obietnice na poważnie, to przypominamy, że dzieci i ryby głosu nie mają i domagamy się spełnienia kolejnych żądań. Wędkarze, o których tu mowa, najchętniej łowią w mętnej wodzie. Mają też wiele wspólnego z żyjątkami, na które polują - są śliscy jak węgorz, a gdy ich o coś spytać, wiją się jak piskorze. Warto też zauważyć, że złowione przez nich okazy to tak naprawdę filety bez kręgosłupa. Większe sumy praktycznie się nie trafiają, chociaż dobrze udokumentowane są przypadki, gdy ryba, szarpiąc się na haczyku, zanim sama zginie raniona śmiertelnie, idąc na dno zabiera ze sobą łowiącego. Można się też naciąć na piranię, która potrafi niedoświadczonego amatora obgryźć do białej kości i spokojnie odpłynąć w poszukiwaniu następnego naiwnego. Wśród niektórych gatunków występuje kanibalizm, a co to oznacza wiecie przecież dobrze, ale przypomnę: potencjalna ofiara staje się żądnym krwi myśliwym pożerającym swoich pobratymców. Odrębny problem to kłusownicy, to jednak inny temat, ale w tym miejscu warto odnotować powstanie Centralnego Biura Antykłusowniczego (CBA), które ma dbać, aby łowić mogli tylko posiadacze odpowiedniej legitymacji członkowskiej.

Nie wiecie gdzie, kiedy i co biorą? Może bym też spróbował... a Wy?

Para - Graf

WYCIECZKI PO PORCIE

Odra Queen, Peene Queen

WYJŚCIE*

10⁰⁰, 11⁰⁰, 12³⁰, 14⁰⁰, 15³⁰, 17⁰⁰, 18⁰⁰, 19³⁰

SPECJALNA CENA WEEKENDOWA**

15 zł

*Minimalna liczba osób podczas rejsu 25.. ** promocja obowiązuje do końca sierpnia 2006 roku, w soboty i niedziele

BANKIETY - ŚLUBY - KONFERENCJE

SZCZECIN, ul. JANA Z KOLNA (vis a vis Wały Chrobrego)
tel. 091 434 57 00, www.statki.net.pl

ŁADOGA

RESTAURACJA ROSYJSKA

SZEF KUCHNI poleca LETNIE SMAKI WSCHODU...

CHŁODNIK LITEWSKI & DORADĘ
W SOSIE SZCZYPIORKOWYM*

...BLINY Z OWOCAMI SEZONOWYMI...

ponadto wyjątkowe przysmaki
z KRYMSKICH WINOROŚLI
w specjalnych cenach!

* Cena zestawu: 39 zł, pon.-pt. do godz. 17.00

18 LIPCA i 29 SIERPNIA - WIECZÓR ROSYJSKI
muzyka na żywo, herbata po rosyjsku, bliny,
promocja napojów: ROSYJSKIE BIAŁE NOCE
godz. 19.00, wstęp wolny

Szczecin, ul. Jana z Kolna
tel. 091/434 57 00, ladoga@ladoga.pl
www.ladoga.pl

Pewnie pierwszy raz widzisz samochód w salonie tatuażu? Zastanawiasz się, co on tam robi? No cóż, w salonach tatuażu zazwyczaj robi się właśnie tatuaże. Cała sytuacja nie byłaby dla Ciebie zaskakująca, gdyby nie to, że pewnie pierwszy raz widzisz samochód Dodge Caliber. Już w standardzie wyposażany jest w sporą ilość niepowtarzalnego charakteru, temperamentu, buntowniczego usposobienia, no i, oczywiście, w dużo innych akcesoriów.

DODGE CALIBER. WSZYSTKO PRÓCZ POKORY.

Dodge Caliber już od 59.000 zł brutto.

HOLDA Sp. z o.o., Autoryzowany Dealer i Serwis Chrysler, Jeep® i Dodge
70-660 Szczecin, ul. Gdańska 7
tel.: (091) 48 38 200
www.holda.dodge.pl

Zalecamy produkty
Mobil

DaimlerChrysler Automotive Polska